

POLSKA INWALIDOM

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK II.

WARSZAWA, SIERPIEŃ — WRZESIEŃ 1927 r.

Nr 7 — 8.

SPRAWA INWALIDZKA, RZĄD I SPOŁECZEŃSTWO.

Według danych Ministerstwa Spraw Wojskowych z dnia 1 stycznia 1925 roku (a od tego czasu niewiele się zmieniło), ogólna ilość zarejestrowanych inwalidów wojennych wynosiła 136.452 osoby. Uznanych za stałe niezdolnych do pracy było w tym czasie 83.377 inwalidów, zaś 53.075 niezdolnych czasowo, to jest takich, których Komisje uznać kiedyś mogą za zdolnych do pracy. Zarejestrowani inwalidzi pobierają rentę, z których najwyższa nie wystarcza na utrzymanie, a dodać trzeba, że najwyższa pobierają tylko ci, którym przyznano 100% utraty zdolności do pracy. Pozatem pobierają wsparcie inwalidzkie wdowy i sieroty po inwalidach, tudzież rodzice zmarłych inwalidów — razem około 132.000 osób. Wdowy otrzymują 30 lub 50% renty, zależnie od tego, czy dzieci są małoletnie, — sieroty otrzymują zaledwie 20% względnie 30% pensji zmarłego oca, — rodzice zmarłego inwalidy pobierają 20% lub 30% renty inwalidzkiej, i oto jest wszystko, co rząd w rzeczywistości zrobił dla inwalidów.

Jeśli tedy przywiemiemy, że na terenie Państwa Polskiego jest przeszło dwieście tysięcy inwalidów wojennych i drugie tyle wdów oraz sierot po poległych i inwalidach, — jeśli zważymy, że dziewięć dziesiątych tej olbrzymiej rzeszy ofiar wojny znajduje się w opłakanych pod względem materialnym warunkach, gdyż wojna zabrała im wszystko, a przede wszystkim zrujnowała ich siły i zdrowie, — jeśli stwierdzimy, że pobierane przez *mniej niż połowę* tej prawie *półmilionowej* masy renty nie wystarczają nawet na codzienny chleb, — to szczerze i sumiennie powiedzieć musimy, że sprawa inwalidzka w Polsce w siódmym roku po ukończeniu wojny nie jest jeszcze załatwiona.

Pisaliśmy już niejednokrotnie, że prawdziwie godnym wielkiego narodu załatwieniem sprawy inwalidzkiej jest *jedynie umożliwienie inwalidom wzięcia równego udziału w codziennej walce o byt*. A więc przede wszystkim zmyć z nich piętno żebractwa, co i społeczeństwu przyniesie znaczny zysk materialny w myśl zdrowej zasady Henryka Forda: „Dobroczynność staje się niepotrzebna, skoro ludzi

niezdolnych do zarobkowania na życie, przenosi się z warstwy nieproduktywnej do produktywnej.“ I tu, siła rzeczy, narzuca się łatwe rozwiązanie sprawy: zbudowanie warsztatów, w których inwalidzi wojenni mogliby się zająć wytwórczością odpowiednio dostosowaną do ich fizycznych warunków, i stać się produkcyjną częścią społeczeństwa. Pomyślano o tem w Polsce, ale w pewien oryginalny, no, i polowiczny sposób. Uznano, mianowicie, że najbardziej odpowiedniami „warsztatami pracy“ są przedsiębiorstwa monopolowe, koncesjonowane. Ponieważ ilość ich jest ograniczona, więc nie są one narażone na silną konkurencję, przez co mogą być bez trudu eksploatowane nawet przez niezupełnie wykwalifikowanych inwalidów, względnie wspólnie z „fachowcami“. Rozpoczęła się słynna już dzisiaj walka o te koncesje. W początku 1923 r. złożono w Sejmie wniosek w sprawie cofnięcia koncesyj obecnym ich posiadaczom, a nadania ich t. zw. uprzywilejowanym, t. j. inwalidom, wdowom wojennym i t. p. Jednak zakulisowe wpływy powstrzymwały rozwój tej sprawy aż do grudnia 1924 r., i wtedy dopiero ukazało się rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej postanawiające przeprowadzenie w przeciągu 2-ech lat rewizji koncesyj monopolowych i nadania ich osobom uprzywilejowanym. Zdawało się tedy, że to jest zwycięstwo. Ale tylko się zdawało. Bo oto rozpoczęły się rychło nowe jakieś zakulisowe konszachty i starania, i rewizja koncesyj znowu została odłożona. Wydział Wykonawczy Związku Inwalidów rozpoczął tedy nowe starania. Zdawało się znowu, że zostaną one uwieńczone pomyslnym skutkiem. Lecz znowu tylko się zdawało. Inwalidzi bowiem czekają już przeszło dwa lata, i wierzą dziś jeszcze, że rozporządzenie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w całej pełni będzie wykonane. Tymczasem zawisło nad tą sprawą nowe niebezpieczeństwo. Otóż leży przed nami Druk Nr. 2662 Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej, w którym na miejscu naczelnego widnieje „Wniosek posła Stanisława Wartalskiego i kolegów z Klubów Sejmowych: Związku Ludowo-Narodowego, Chrześcijańskiej Demokracji, o uchylenie rozporządzeń Prezydenta Rzeczypospolitej w przedmiocie

rewizji uprawnień (koncesyj) na sprzedaż przedmiotów, objętych monopolem skarbowym.

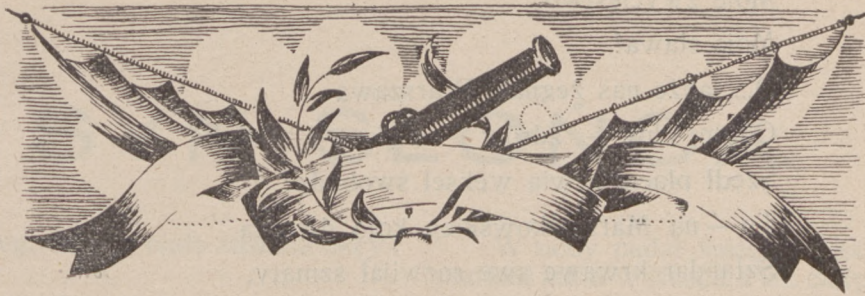
Wysoki Sejm uchwalić raczy: Sejm wzywa Rząd 1) do opracowania i złożenia Sejmowi ustawy o podatku inwalidzkim, obciążającym wszystkich obywateli Państwa, których roczny dochód przekracza sumę... złotych, 2) załączona ustawę. Wnioskodawca: Wartalski, Głabiński, ks. Sobczyński, Jasiukowicz, Kaczmarek, Goździk, Chwałibóg, Raczkowski, Świecki, Rab, Łażewski, Bieńkowski, Arcichowski, Kotkowski, Rowicki, Rzepecki, ks. Kubik, Sobolak, Rudnicki, Lipski, Koncewski, Jankowski, Dzierżawski, Tabaczyński, Wiktor Ostrowski, Kalenkiewicz. Ustawa o uchynieniu rozporządzeń Prezydenta w przedmiocie rewizji koncesyj. Art. 1. Moce ustawy niniejszej uchylone zostają dwa rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej: 1) z dnia 27 grudnia 1924 r. w przedmiocie rewizji uprawnień (koncesyj) na sprzedaż przedmiotów, objętych monopolem skarbowym (Dz. U. Nr. 114/24, poz. 1022); 2) z dnia 10 grudnia 1926 r. o przedłużeniu terminu wykonania rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 grudnia 1924 r. w przedmiocie rewizji uprawnień (koncesyj) na sprzedaż przedmiotów, objętych monopolem skarbowym (Dz. U. Nr. 121/26, poz. 696). Art. 2. Ustawa niniejsza wchodzi w ży-

cie z dniem ogłoszenia Art. 3. Wykonanie ustawy niniejszej porusza się Ministrowi Skarbu.

Tak więc za jednym zamachem załatwienie całej sprawy. Uzasadnienie takiego załatwienia? Nie znamy go, nie wiemy. Koncesje, wedle tego projektu są potrzebne komu innemu, nie inwalidom. Inwalidom trzeba coś dać. Co, wiele, kiedy, jak? o tem projekt nie mówił. To projektodawców, widocznie, nie bardzo obchodzi. Projektodawcy ci są jednak przedstawicielami społeczeństwa, mają prawo mówić w jego imieniu, więc niechże powiedzą. Niech powiedzą inwalidom, jak sobie wyobrażają załatwienie ich niezałatwionej sprawy. Doprawdy, dajmy już spokój frazesom. Piękne słowa ran nie leczą. Inwalidom potrzebne są warsztaty pracy, domy, renty. Warsztat pracy rentę może zastąpić, odwrotnie nigdy. Więc skoro nie koncesje, to cóż?! Czy mamy wrócić do stanu z roku 1921? Czy mamy zacząć całą sprawę inwalidzka na nowo?! A może nareszcie obudzi się *Wola* załatwienia tej sprawy?! Niech — to będzie nawet od jednego zamachu, ale niech to będzie nareszcie coś realnego, niech to będzie zaproponowane w imieniu narodu, a nie interesów partji czy klas, i niech to będzie godnem wielkiego narodu!

Żet.





Z Cyklu: „Inwalidzi.“

Przed dworcem Głównym w Warszawie.

Z karabinem w rękę — bagnet na broń —
Chodziłem niegdyś do wściekłych ataków —
Młody — meżny — silny — jak dąb!
Jakaż siłą paliła się skroń,
Jakich serce słuchało krwi znaków,
Kiedy śmierci dał koło mnie ziać?!
Hej! Z karabinem w rękę — bagnet na broń —
Z siłą w sobie przeokrutnie wściekła
Chodziłem do ataków w ognia piekło —
Służąc waszej dziś dumie i sławie!
Bo ja dziś... tutaj... w Warszawie
Przed dworcem głównym czyszcze wasze buty!
Widzicie?! Nie mam nóg... mam marne kikuty —
Siedzę z trudem i z trudem macham czarną szczotką!
A było, żem się pieścił też z swoją pieszczotką.
Żem był silny i zgrabny — i wolny — wolny!
Dziś ja — żołnierz Wolności — niewolnik kalectwa!
Dziś ja podziwiam te wasze wybory
Wolne w wolnym mieście!
Bom za nie we krwi leżąc i w mece i w znoju,
Wściekłym zębem drąc ziemię wśród boju zapłacił!
To ja za waszą Wolność płaciłem... w terminie!
Za waszą wolność!
Ja — niewolnik kalectwa!
Wrze ulica. Wrze życie. Samochody. Ludzie.
Panienki. Dziewczeta. — Wiosna —
I we mgłę wspomnień — jakby w cudzie —
Moja pieśń radosna,
Mój bóju.

Moje zwycięstwo,
Moja sława!
O... jakże nas żegnała Warszawa
Gdyś silny — zdrow — piękny — młody
Szedł płacić krwią weksel swobody!
Tu — na Marszałkowskiej, koło dworca
Sztandar krwawe swe rozwijał szmaty.
Tętniły głucho armaty,
A zewsząd na nas sypały się kwiaty!
Dziś... pada deszcz. Posepnie. Chłód.
Dziś... wiem, co głód,
I czyszcze wasze buty w Warszawie,
W stolicy wolnego Państwa
I śnię:
Że znówu młody, silny... przez błóń,
Krwawo — zieloną, po trupach — bagnet na broń
Do ataku!
Nie chcę od was nic! To ja przelałem krew
Za waszą wolność — za wasz dzisiejszy śpiew,
I gardzę waszą zapłatą!
Wy — praktyczni — płaciecie dziś za to,
Że wam czyszcze buty!
A za **tamto zapłać Bóg!**

Wiktor Przeclawski.



SYN SŁOŃCA.

W nocy padał śnieg. Gruba, biała zasłona okryła całą ziemię.

Przebudził się i natychmiast przypomniał sobie z radością, że wczoraj otrzymał list z nieoczekiwana wiadomością, która stawiała się jego ocale niem; uczył się młodym i szczęśliwym i zaczął śpiewać. Lecz potem podszedł do okna, otworzył okiennicę i zobaczył śnieg. Natychmiast przestał śpiewać. Beznadziejnie i tęskne uczucie zawładnęło jego duszą, a jego chude, skurczone ramiona zaczęły drżeć.

Zima była dlań zawsze porą ciężką i wrogą; przeżywał wtedy mękę, których nikt drugi nie mógł zrozumieć. Sam widok śniegu był już dla niego krzykiem śmierci, krzykiem zguby, który potężnie huczał w jego uszach. I trwały długie wieczory pełne mroku i bezmyślnego, tepego milczenia; nie mógł pracować w swojej pracowni; dusza jego zapadała w zimowy sen i zupełne milczenie. Kiedyś w lecie przebywał w małym mieszkaniu w wielkim, jasnym pokoju, w którym dolne szyby okien były na biało zamalowane. To białe światło na szybach przypominało mu śnieg, tak, że nie mógł przetrwać w sobie wrogiego uczucia, wstającego w nim ustawicznie na widok tych białych szyb. Chciał jednak przemóc się i mieszkał w tym pokoju przez kilka miesięcy, wytrwale dowodząc samemu sobie, że dla wielu śnieg i lód mają swój powód, że zima, tak jak i lato są wyrazem tejże wiecznej idei, że ja daje Bóg, — lecz nie było mu pomaganie; nie mógł pracować, a nieustanna męka wyczerpywała go. Później był w Paryżu. Kiedy w mieście panowała radość z powodu jakiegoś wielkiego święta, chodził zazwyczaj po bulwarach i przypatrywał się ulicznemu życiu. Zdarzało się, że działo się to w czasie gorącego lata, o ciepłym wieczorze, kiedy drzewa pokryte były gęstwą liści, a powietrze w całym mieście przesycone było zapachem kwiatów, kwitnących w wielkich parkach; ulice zalane były jaskrawym światłem elektrycznych lamp i roliły się tłumy, którzy pchali się w różne strony wśród krzyków i śmiechów, obrzucając się kwiatami, — wszystko było jakby objęte ogólnym weselem. Więc i on wychodził z domu z najszczerzszym pragnieniem zagubienia się w tłumie i wzięcia udziału w radości wszystkich, — lecz jeszcze przed wpływem półgodziny siadał do dorożki i wracał do domu. Dlaczego? W pamięci jego pojawiał się obraz, który przenosił go w dalekie kraje: confettii, krążące przed nim w elektrycznym świetle, przypominało mu śnieg, i jego radosny nastrój pierchał natychmiast.

I to się powtarzało co roku.

Gdzież była ojczyzna jego duszy? Być może, w krainie słońca, w krainie palm? A może na brzegach Gangesu, gdzie kwiat lotosu nie więdnął nigdy.

W nocy padał śnieg. Więc myślał o tem, jak marzną ptaki w lasach, i jak cierpią korzenie fiołków w ziemi, zanim umrą nareszcie. A czemuż teraz żywi się zając?

Nie mógł teraz wychodzić z domu. W ciągu długich miesięcy nie będzie prawie nigdy opuszczał swego pokoju, będzie chodził od ściany do ściany, lub będzie siedział na krześle i myślał. I nikt nie wiedział, mógł nawet się nie domyślać, jak bardzo cierpił w swej samotności. Był przecież jeszcze młodym, mógł przyjmować udział w życiu, i sił posiadał dosyć; i oto z powodu kaprysów mrozu, z powodu przypadkowej zmiany pogody został skazany na zamknięcie w pokoju, na pastwę zadumy i myśli! Nie było w tym czasie ze strony jego żony niepotrzebna ostrożność, kiedy zamykała w szafie trochę owoców, które kupowała dla dzieci; w przeciwnym bowiem razie mąż zabierał je, układał na stole kilka jabłek lub kiści winogrodu i cieszył się nimi, albowiem to były owoce południa i lata, — a wreszcie zjadał je.

Gust jego i przyzwyczajenia magle i gwałtownie zmieniły się. Zazwyczaj nie lubił odpowiadać na listy; lecz w tym czasie siedział chętnie przy stole i pisał mnóstwo listów; pisał nawet do tych, którym nie powinien był odpowiadać, — zapytywał o głupstwa, lub przysyłał wiadomości, nie mające żadnego znaczenia. Panowało w nim wtedy niejasne przeczucie, że koniec, triumf zniszczenia — zbliża się, i że przy pomocy tych wszystkich listów, rozsyłanych na północ i południe, uda mu się jeszcze na czas jakiś utrzymać związek z życiem. Zachodziły w nim także i inne przemiany, równowaga jego duchowego życia przerywała się; często, zostając sam, płakał, a sen jego zamieniał się nierzadko w ciężki bezwład, w czasie którego leżał z półotwartymi oczyma.

A jednak ten człowiek z tak niewytrwałem i słabem ciałem, w lecie umiał być wesołym i cieszył się radosnym nastrojem duszy. Lecz kiedy nastawały ciemne, zimowe dni, brało go w swoje władanie straszliwe osamotnienie, zupełna melancholija. Przeskokil z jednego nastroju w drugi stawały się ostre i niespodziewane, jak nadlatująca nagle burza. Zdarzało się, że padał na kolana przed swoim młodszym dzieckiem, i modlił się za niego do Boga, zalewając się gorzkimi łzami. Pragnął gorąco, aby jego chłopiec nigdy nie został „społecznym działaczem“, jakim był on sam, jego ojciec. Źródła dusz społecznych działaczy zawsze są mętne; tych ludzi psuje to, że wszyscy o nich mówią otwarcie; poznaje się ich w tłumie, potem słyszą ustawnie, że wszyscy się nimi interesują. Cóż więc dziwnego, że, czując się bez przerwy jakby na wystawie, stają się wreszcie nienaturalni: ich spojrzenie, ich chód, ich sposoby obcowania

nia — wszystko, — co czynią, jest nienaturalnem. Lecz jego chłopiec powinien pracować na roli, silić i zbierać. Czyż może być coś lepszego! Wtedy nie będzie także zmuszonym przebywać w obcych krajach! Albowiem daremniemi są wysiłki człowieka, jeśli chce uwić sobie gniazdo w cudzym kraju, jeśli chce tam znaleźć swój dom. Na obczyźnie — jakże zrozumieć dobrze cudzy język, jakże pojąć spojrzenia obcych ludzi jak zaprzyjaźnić się z ich uśmiechami? I niebo tam przecież inne, i gwiazdzy na niem rozłożone inaczej, że poznać ich nie można. A kwiaty — jeśli im się przyjrzyysz — także inne; nawet ptaki przeważnie są inne. A na masztach powiewają obce flagi.

I on sam czuje się instyktownie jakby oderwanym od rodzimiej gleby; czyż to można wiedzieć? Być może w jakiejś dalekiej przeszłości i on był mieszkańcem innego, ciepłego kraju, innego, zupełnie innego.

Spostrzegł z przerażeniem, że mróz wzrasta, i że wszystko żywe na ziemi zamienia. Przez okno widać las i szeroką drogę, którą jeżdżą ludzie do miasta i którą wracają słamiadł. Drzewa stoją nieruchome, a wszystkie pokryte są szronem. Wspaniały dzień dla sportsmenów! Jakiś nieszczęsny ptaszek ma jeszcze siłę poruszać skrzydełkami; leci i pozostawia za sobą w przestworzu cienką wstążeczkę pary. Przyroda nie oddycha, trwa milcząca i chłodna; niema nawet najłżejszego wiatru, powietrze jest nieruchome, wszystko zastygło, wszystko pobielalo, martwota i cisza.

Od strony drogi dolatuje dźwięk dzwonek. Przejżdżają sanie; jadą niemi pan z damą. Nad koniem i nad ludźmi unosi się małeńki obłok pary, który bez przerwy się odnawia. Najwiśdoczniej ten pan z tą damą nigdy w swem życiu nie widzieli wimnicy; możliwe, że nigdy też nie jedli winogrodu. Na twarzach ich bowiem nie można spostrzec nawet ani cienia niezadowolnienia z pogody; jadą do miasta załatwiać swe małeńkie sprawy i od czasu do czasu popędzają konia. Zapewne zdaje im się, że posuwają się za wolno po tej dziwnej równinie.

Człowiek z krainy słońca śmiałyby się do łez, patrząc na ten widok. Lecz dama i dżentelmen zupełnie spokojnie i bez najmniejszego zdziwienia patrzą na tę zimną zagadkę, która otacza ich ze wszystkich stron; ta zagadka nie budzi w nich żadnej myśli, albowiem oni sami — to dzieci śniegów i wyrosli wśród śniegów. Figury ich przypominają siedzących jeleni. Mężczyzna nosi brodzie, a broda pokryta jest szronem i kawałkami lodu.

Biedny, nienawidzący śniegu artysta patrzy na swoją małeńką córeczkę, która się bawi na śniegu pod jego oknami. Mała ubrana jest od stóp do głowy w ciepłą skózaną odzież; tylko grube buciki z koziej skóry podbite są twardą podszewą. Śnieg skrzywi żałośnie pod jej nóżkami, kiedy biegnie, ciągnąc za sobą sameczki. Płecy patrzącego zaczynają drgać, on zakrywa oczy, traci władzę nad sobą; dziwne cierpienie, które przeżywa, pokrywa jego czoło zimnym potem. A dziewczynka woła go. Podniosła główkę, pokazała swoją za-

czerwioną twarzyczkę i trzyma w ręczce sznurek, który oderwał się od sanek. Więc schodzi do niej, związuje sznurek i stoi na mrozie bez czapki i bez ciepłego okrycia. Czyż tobie nie zimno? — zapytuje dziewczynka. Nie, on nigdy nie marzł; jego ręce są zawsze ciepłe, i tylko w gardle czuje ból uszczyplliwy, wywołany mrozem powietrzem. Lecz nie marznie nigdy.

Zauważył, że wielka, stara brzoza, rosnąca obok wejścia, dziwnie się zmieniła — jej pień pękł. To mróz uczynił! — pomyślał, drżąc znowu.

W nocy przyszła zmiana. Siedział na łóżku i czekał większej zmiany, chociaż wiedział, że zima jeszcze się nie skończyła i będzie trwała jeszcze długo. A jednak w duszy jego błysnął jakgdyby promień nadziei.

Mrozy stopniowo zmniejszały się; nareszcie śniegi zaczęły topnieć, i w powietrzu powstał szum, przypominający szum morskiego przyływu.

I rosła w sercu jego różowa nadzieja; ten szum radosny, jakby wypełniający całe powietrze, przenikał do dna jego duszy, gdyby dziwna muzyka, — ach, to wiosna, to wiosna była w swoje złote tarabany!

Kiedyś wreszcie w nocy usłyszał szklane dźwięki, biegnące od strony okna. Wstał i słuchał — to był deszcz! Obiegło go wtedy uczucie niesłychanej radości; ubrał się szybko i poszedł do swej pracowni. Zapalił wszystkie lampy.

Temnota jego za ojczystem łatem buchnęła teraz jaskrawym płomieniem. Oswobodziły się siły jego od niewidzialnych kajdan, że natychmiast rozpoczął przerwana dawno pracę. Obrazy i głosy z ciepłych krajów przyplnęły zdala i zapęłniły znowu całą jego duszę. Przed oczyma jego rozkwitła krajobraz, i trwał tak wyraziście, jak najpiękniejsze zjawisko: to była dolina z południowej bajki, a pośród doliny stał Człowiek, młody owoc Tworzenia, stworzony dopiero przed chwilą i po raz pierwszy oglądający oczyma swemi niebo i ziemię. Oto Bóg, oto zwycięzca, wstający o porannej zorzy życia. Wokoło niego wspaniała i najrozmaitsza roślinność: cudowne palmy, i olbrzymie krzewy z wlepkami, czerwonymi liśćmi, i drzewa przepotężne, i polna zielona, i winnice. W głębi doliny najrozmaitsze zwierzęta: są blisko, bardzo blisko, tak, że człowiek słyszy ich oddechy. Na wierzchołku skały gromada ptaków, napędzających powietrze różnymi dźwiękami; pobrał ich są twarde, jak mleczce, a oczy ich błyszczy zielonym płomieniem.

A krajobraz ten oświecają pierwsze promienie wschodzącego słońca, które przed chwilą zaledwie ukazało się nad linią horyzontu; słońce to obejmuje człowieka swojemi promieniami od stóp do głowy...

Artysta pracował do rana. Później spał godzinę i znowu wziął się do pracy. Nic go nie mogło zatrzymać; jakaś dziwna siła podtrzymywała go i zmuszała do pracy. W ciągu pięciu deszczowych dni namalował obraz: Syn słońca.

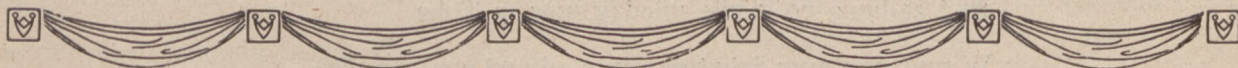
Niewielki, ciemnowłosy, dosyć niepozorny człowiek, bez brody i łysy, siedzi milcząco na krześle i pozwala mówić innym. Od czasu do czasu kaszle i zmieszany podnosi rękę do ust. Jeśli ktokolwiek zwraca się doń z jakimś pytaniem, człowiek ten wzdryga się nerwowo i przez chwilę uważnie patrzy na tego, który doń przemówił. Cały wieczór zazwyczaj przesiadzi na tem samym miejscu, na którym usiadł z początku; jest tak niezgrabny, cała

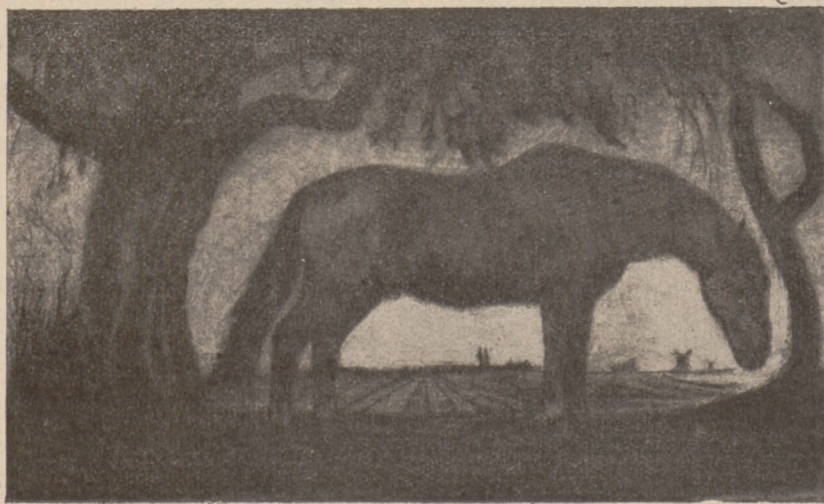
jego postać jest tak niepozorna, że nikt nie zwraca nań uwagi i nikt się nim nie interesuje. Wydaje się więc, że znalazł się w towarzystwie tych sławnych ludzi jedynie tylko dzięki nieporozumieniu.

A jednak w kilka tygodni później ten właśnie człowiek wystawia swój obraz, i od tego dnia znają go wszyscy.

Przełożył Żet.

—:0:—





M A R Z E N I E.

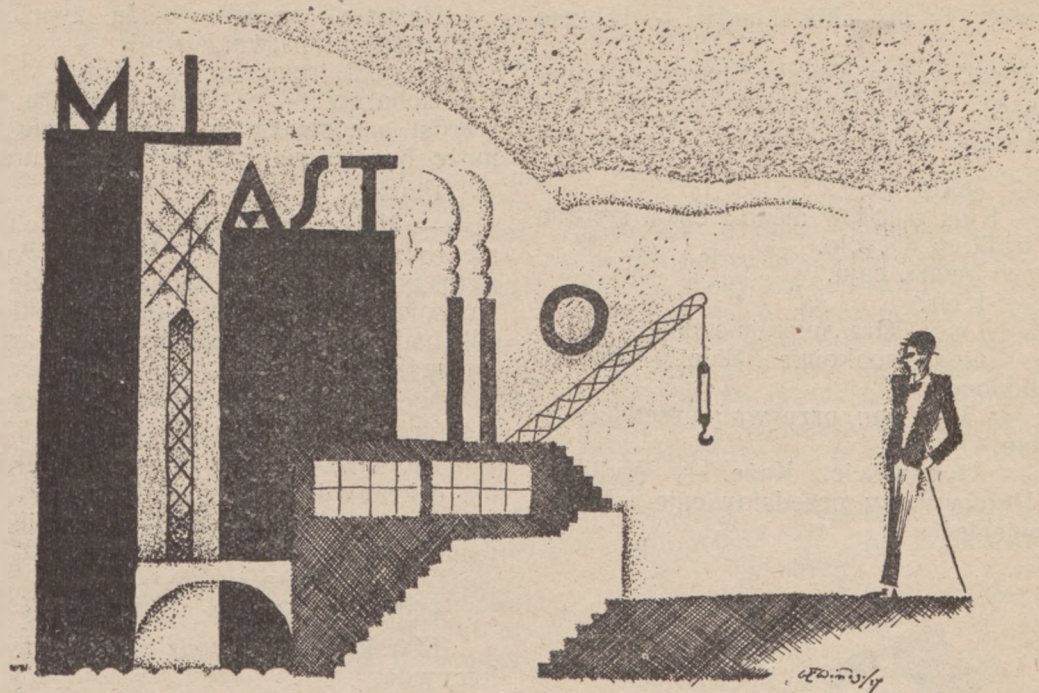
Być żaglem chybotliwym wydętym na wietrze,
W słonym oddechu morza pod niebem się tłuc,
Być wiałą pianą morską, lub rzeźwem powietrzem,
Co wchodzi pieśczośliwie do zmęczonych płuc.

Być kamieniem żarliwie toczonym przez wodę
Miotanym ciepła fala jak oddechem liść
Być się móc wydostać i od siebie odejść
I w ruchu wiecznotrwałym gdzieś przed siebie iść.

Być słowem, miłym słowem, co się w sercu rodzi
I na ustach pragnących pocałunku drży,
Rozedrgać się perliściej i uśmiechać słodziej
Niż uśmiech Twoich źrenic zasnutych przez lzy.

Jako cyprys wyniosłość nadający grobom
Stanać nad swoim sercem, które wszystko wle —
Być zadumą co stanie między mną, a Toba
W tym smutnym dniu jesiennym gdy mi powiesz: Nie,

J. P.



Część czwarta: PIEŚŃ NA ROZSTAJU.

Gębarski był oburzony. Oczy jego świeciły brutalną złością, a głos dyszał jadowicie i zgrzytał. Mówił:

— Chyba pan zwarzjował, czy co?! A to ładna historia! Wycie po pierwszym akcie zagłuszyło orkiestre. Najzupełniej pana nie rozumiem. Co się panu stało? Przecież to się zanosi na gruby skandal, panie! Brodzki powiada, że jutro mu teatr zamknąć mogą. Ale ja i jego nie rozumiem. Bo że pan, kapryśny poeta, zapragnął nagle zagrać rolę moralisty i domoresłego rewolucjonisty, no, to jeszcze pojąć mogę. Ale dlaczego Brodzki ten dramat wystawił, nie rozumiem. Tłumaczy się teraz, że posiada sceny piękne i efektowne, i że zresztą był aż do tej chwili przez pana zahypnotyzowany. Ale słyszysz pan?!

Aż tu słyszeć było wrzask i wycie publiczności. Mój nowy dramat robił skandaliczną kłapę.

W gabinecie dyrektora odbywała się zato przepyszna tragifarsa. Oto ona:

Dziurdziński, siedząc wygodnie na otomanie, mówi: — Utwór mistrza Tadeusza jest wprost genialny. A dzisiejsza publiczność zachowuje się tak, jakby tu było Honolulu, Azja, Berdyczów.

Dyrektor Brodzki: — Pan to poważnie?

Gębarski: — On i poważnie! Daj pokój, dyrektorze.

Dziurdziński: — Ja mówię poważnie i radzę panom słuchać mnie poważnie. Jeżeli jesteście pod jakakolwiek hypnozą, to tylko pod hypnozą tłumu. Tłum ten dzisiaj jest wściekły, bo mu ze sceny mówią prawdę w oczy. Ot, co!

Gębarski: — Ach, bredzisz, mój drogi! Cóż ma prawda do czynienia z poezją?

Dyrektor Brodzki: — Tak. Cóż ma prawda do czynienia z poezją? My, to jest oni, to jest ten tłum chce od nas, to jest od teatru poezji, a pan Tadeusz...

Dziurdziński: — Panowie to poważnie? —

Gębarski i Brodzki, jednocześnie: — Poważnie.

Dziurdziński: — To ja poważnie wychodzę. — Wychodzi.

Gębarski: — Stary pijak!

Brodzki: — Kawiarniany malarz!

Pauza.

Gębarski: — Trzeba jednak coś przedsięwziąć, dyrektorze.

Brodzki: — Chyba... chyba przerwać przedstawienie.

Pauza.

Gębarski: — To będzie wielki cios dla Tadeusza.

Brodzki: — Ale inaczej mogą go obić. I nas także.

Gwar, echa krzyków.

— O, słyszysz pan? Znowu się zaczyna.

Gwar silniejszy.

— Boże mój! To już jakiś skandal! — Biegnie ku drzwiom.

W tejże chwili wpada Kierska (bardzo sympatyczna aktoreczka, moja przyjaciółka) i krzyczy:— Panie dyrektorze! Rolecki raniony!—

Pauza.

Brodzki: — Jakto?!

Kierska: — Ktoś rzucił w niego ciężka, srebrna papierośnica i trafił go w czoło.

Ma we krwi twarz całą.

Brodzki: — I co?

Kierska: — I nic. Gra spokojnie dalej.

Brodzki: — Gra... spokojnie... dalej? Słyszałeś pan coś podobnego?

Gębarski: — Każ pan przerwać przedstawienie. To trudno.

Brodzki: — Oczywiście. Każe. — Wybiega.

Krzyczy: — Przerwywamy przedstawienie. Przerwać przedstawienie!



Gębarski przezornie zamyka drzwi: — A to rzeczywiście ładna historia!

Kierska: — Acha. Ładna. Bo nasza publiczność też jest wiele warta! Wczoraj na tej francuskiej komedji pełno było, i wszystkie dostałyśmy kwiaty! Za co? Za bardzo wątpliwej natury dowcipy, wygłaszane z czarującym nibyto uśmiechem. Za odsłonięte piersi i ramiona, za krótkie sukienki, za zgrabne tydki. Brr!

Gębarski zdziwiony: — Jakto?! To i pani broni mego kolegi?

Kierska zdziwiona: — E...! Co to ma jedno do drugiego?

Pauza.

— A pan nie?

Gębarski: — Co nie?

Kierska: — Pan nie jest gotów bronić swego kolegi?

Gębarski powoli: — Ja uważam, że kolega mój zrobił głupstwo.

Kierska ironicznie: — Tak?

Gębarski: — Dyrekcja teatru zaś popełniła wprost nieostrożność. Rzecz całą skończyć się może bardzo nieprzyjemną awanturą.

Pauza.

— Najzupełniej, słowo daje, najzupełniej dziś nie rozumiem mojego kolegi. Był poetą słonecznym, poetą miłości i wiosny, i nagle oto te ponure nastroje, to szyderstwo, ten niewytłomaczony sposób malowania wszystkiego na czarno, ta polityka wreszcie!

Nie rozumiem doprawdy, co poezja może mieć wspólnego z polityką!

Kierska: — To pan proste, serdeczne mówienie o krzywdzie nazywa polityką? To dowcipnie, wie pan! Albowiem w takim razie można powiedzieć, że wszyscy spekulanci codziennie zajmują się tylko polityką.

Gębarski naiwnie: — Dlaczego?

Kierska: — Bo codziennie tworzą i wyzyskują krzywdę.

Gębarski: — Pani to ciekawie powiedziała, ale to nie uratuje pozycji Tadeusza.

Pauza.

Rolecki wchodzi: — Przepraszam państwa, dyrektora tu niema?

Gębarski: — Niema.

Rolecki: — Poczekam. — Siada i przykładła chustkę do skrwawionego czoła: — Dyrektor przerwał przedstawienie. Zapewne teraz przemawia do publiczności.

Kierska: — Może panu podać wody?

Rolecki: — Dziękuję pani uprzejmie. Nie trzeba.

Gębarski: — Więc przedstawienie przerwane?

Rolecki: — Przerwane.

Gębarski: — I cóż teraz będzie?

Rolecki uśmiecha się blade: — Cóż? Pójdziemy wszyscy do domu. I ci z nas, którzy jeszcze czują i myślą, będą rozmyślać o niedosłuchanym do końca utworze mistrza Tadeusza. I nie wszyscy spać będą spokojnie. Jutro gazety pisać będą o skandalu, krytycy prawicowi wyśmieją poetę, krytycy lewicowi przerobią jego słowa na hasła partyjno-polityczne, a jego wielkie słowo twórcze serca...

Pauza.

— Cóż stanie się z jego słowem twórczem?

Gębarski niepewnie: — Ja pana nie rozumiem. Grał pan główną rolę w dramacie mego kolegi, i publiczność wynagrodziła pana... raną na czole, dyrektor zaś przerwał przedstawienie.

Rolecki: — O tem wszystkim to ja sobie po swojemu myślę.

Kierska: — To znaczy?

Brodzki wchodzi zmęczony: — Przedstawienie przerwane, panie Gębarski. Przemówiłem do publiczności, starałem się ją uspokoić. Nie bardzo mi się to udało. Nie rozchodza się, krzyczą, wzywają autora.

Rolecki: — A co robi mistrz Tadeusz?

Brodzki: — A to pan tu jest? Jakże pańskie czło?

Rolecki: — Bagatelka. Trochę krwawo. Niepokoję się o pana Tadeusza.

Brodzki z hamowaną złością, ironicznie: — Może pan być zupełnie spokojnym. Pan Tadeusz zupełnie spokojnie wiedzie dysputę z dziennikarzami. Jestem raczej niespokojny o pana. Czy będzie pan mógł jutro grać?

Rolecki z ożywieniem: — Wiec jutro powtórzmy dzisiejsze przedstawienie?

Brodzki: — Ale skądże znowu! Także coś! Po takiej awanturze! Jutro damy komedię „Piąta żona“. Zaraz zamówię afisze i prześlę zawiadomienie do gazet. Wiec jakże?

Rolecki zimno: — Nie, panie dyrektorze, jutro w tej komedji ja grać nie będę.

Brodzki: — Czuję się pan tak źle? Niech pan będzie zaraz do domu, niech się pan położy. Może przejdzie. Bo cóż my jutro bez pana zrobimy?

Rolecki zimno: — Fizycznie czuję się zupełnie dobrze, panie dyrektorze. Ale ani jutro, ani pewnie wogóle w tej sprośnej komedji francuskiej grać nie będę.

Brodzki: — Jakto pewnie wogóle? Co to znaczy?

Rolecki: — To znaczy, że dalsza praca moja w pańskim teatrze uzależniam od wznowienia dramatu pana Tadeusza. Przerwanie dzisiejszego przedstawienia uważam za niesłuszne, a w każdym razie przedwczesne.

Brodzki zdziwiony, po dłuższej chwili: — Niesłuszne? Przedwczesne? Co to takiego? Na co mieliśmy jeszcze czekać?

Rolecki: — Na akt trzeci. Duża część publiczności była już zaciekawiona, duża część stała już po stronie autora.

Brodzki: — Po stronie autora? Ha! ha! ha! Galeria, co?

Rolecki spokojnie: — Może galerja.

Pauza. Słychać gwar i krzyki.

Brodzki: — No, żarty na stronie. Słyszycie państwo co się dzieje? Jeszcze się nie rozeszli!

Pauza. Gwar.

— Tak... tak... Poeta przesadził...

Pauza.

— Wiec jutro gramy „Piąta żona“. Sadzę, że mi pan nie zrobi zawodu, panie Rolecki?

Rolecki: — Pan wie, panie dyrektorze, że ja słów swoich nigdy nie cofam.

Brodzki: — Wiec co? Pan to mówił na serio? Pan mi grozi swoją dymisją?

Rolecki wstaje: — Mogę uważać ja za przwieta?

Brodzki: — Co? Co takiego? Ależ panie Rolecki! Wyście chyba naprawdę wszyscy tu powarjowali! Jakto?! Ja, dyrektor teatru, nie mam prawa przerwać przedstawienia, które mi grozi zamknięciem teatru? Któż tu rzadzi?

Rolecki: — Niewątpliwie pan, i dlatego ustępuje ja.

Na to właśnie zjawiłem się ja.

Ja: — Jakaś delegacja publiczności chce mówić z panem, panie dyrektorze. Jest to delegacja wrzaskliwa i niegrzeczna. Wobec tego uczmy się dziś cierpliwości.

Brodzki: — Pan, widze, mimo wszystko, w do- brym humorze.

Ja, wesoło: — Wie pan, Choynowski wydał niedawno książkę pod tytułem „Kij w mrowisku“. Nie czytałem jej, ale tytuł mi się ogromnie podoba. Dzisiaj widzimy oto taki kij w mrowisku.

Rolecki: — Mistrzu, porównanie złe. Mrówki słyna z pracowitości, świetnej organizacji i nawet mądrości. A nasza publiczność...

Ja, półwesoło, półironicznie: — Mój biedny bohaterze, masz oto krwawe czło, a papierośnice, która ci rzucono w darze, polecieś odesłać do redakcji, aby posiadał ja znowu krewki jej właściciel. Jesteś więc niepraktyczny. Ja również. Miesiąc temu dyrekcja chciała mi wypłacić awans za ten kij w mrowisku, a ja pieniędzy nie wzięłem. Ty więc straciłeś papierośnice, a ja banknoty. Cóż to będzie dalej?

Brodzki: — Panowie żartami się bawicie, ale co ja mam robić? Co chce ta delegacja?

Ja: — Nie wiem.

Gebarski: — A wie pan przynajmniej, czego pan chciał w tej sztuce?

Ja: — Wiem.

Brodzki: — I co?

Ja: — I nie żałuję dzisiejszej próby.

Brodzki: — Ale my... musimy żałować.

Ja z drzwiami gwar. Głosy: — To tu. Zapukajcie. Ale co tam pukać! Otwórzcie!! Otwórzcie!!! Otwórzcie!!!!

Ja otwieram drzwi: — Proszę... Oto delegacja do pana, panie dyrektorze.

W szeroko otwartych drzwiach tłum osób. Są to ludzie dobrze odziani: panowie w strojach wieczorowych, panie w świetnych toaletach. Na przodzie Człowiek Opasy: — Ha! ha! ha! ha! To pan, panie dyrektorze? Aleś to się pan dzisiaj wkopał, co? Tak! autor i taka sztuka! Sztuka!! Ha! ha! Nedzne, agitacyjne sztuczdyło. Aż się najlepszemu aktorowi za to dostało! Autorowi — by trzeba za- to po szlachecku, po szlachecku!

Brodzki: — Ależ panie! Cóż to za napaść?

Rolecki: — Radzę się liczyć ze słowami.

Człowiek opasy: — Co?! A to ten, który dostał! Patrzcie się! Jeszcze się liczyć ze słowami! A wyście dzisiaj z nim się liczyli? Nie my dla was jesteście, ale wy dla nas! Wy!! Artyści!!!

Tłum: — Ha! ha! Dobrze mówi. Słusznie! Słusznie! Dość tych nowin i kretactw! Albo teatr, albo buda! Cicho! Dosyć!

Ja: — Mówiłem panu, panie dyrektorze, że delegacja ta jest niegrzeczna i wrzaskliwa. Jest także bardzo liczna i trudno będzie z nią się rozmówić. Niech pan zaproponuje tej — wskazałem palcem — delegacji, by wybrała z pośród siebie delegację szczuplejszą.

Człowiek opasy: — Ho! ho! Co za rezolut! Patrzcie się! Mądrala! Coś pan za jeden? My nie z panem, a z dyrektorem chcemy gadać.

Brodzki: — Słucham.

Człowiek opasy: — Myśmy słuchali różnych bredni dwie godziny, teraz pan nas posłucha tylko kilka minut. Ha! ha! ha!

Tłum: — Ha! ha! ha! ha!

Człowiek opasły: — No, dyrektorze, gdzie jest autor szacownej dzisiejszej sztuki? Chcemy go zobaczyć.

Ja: — To ja.

Człowiek opasły: — To pan? To pani? — Trać pewność siebie.

Ja: — Tak, to ja. Słucham pana.

Człowiek opasły: — Hm... tego właściwie... — Cofa się za próg.

Tłum: — Patrzcie, to ten! To on! Poeta nor! Wielbiciel andrusów! I rymsztoku! Pieśniarz z pod mostu! Kłamca! Bolszewik! Warjat! Warjat! Kochanek z Powiśla! Bohater z karczmy! Bolszewik! Bolszewik!

Gwar.

Ja (gdy się ucisza): — To już wszystko? Macie państwo co więcej do powiedzenia?

Głos: (z głębi, piskliwy): — Zrobimy na cześć pana kocią muzykę!

Inny głos: — Oddaj pieniądze!

Tłum: — Oddaj pieniądze!

Ja (zbladłem): — Hołota!

Cisza.

Rolecki staje między mną, a Człowiekiem opasłym, który stoi już za progiem i mówi drwiaco: — Słyszeliście? —

Cisza.

Człowiek opasły cofa się: — No, niby tak...

Rolecki energicznie: — To teraz precz! — Zatrzaszkuje drzwi. Pauza. Za drzwiami gwar, który następnie stopniowo się ucisza.

Brodzki: — Panie Rolecki! Coś pan zrobił? Będzie nowy skandal!

Rolecki: — Pan dyrektor niezadowolony? Proszę, niechże pan drzwi na nowo otworzy.

Brodzki podsłuchuje u drzwi: — Nic. Cicho. Zdaje się, że się rozchodza.

Pauza.

— Tak! Tak! Rozchodza się... Uff! Chwała Bogu! Wyszliśmy cało.

Milczenie.

Ja cicho: — Przepraszam państwa bardzo za te sceny, których także jestem mimowolnym zresztą autorem. Upewniam, że się to więcej nie powtórzy. Ostatni raz jestem dziś w teatrze.

Milczenie.

Brodzki: — Tak. To wszystko było wielce... wielce... niefortunne. Musi pan szybko coś innego, coś lepszego napisać.

Ja: — Coś lepszego?

Brodzki, weselej: — Już pan ma coś na myśli? Co?

Ja: — Tak! Mam coś na myśli. — Nagle podchodzę do Roleckiego i ściskam mu rękę. — Dziekuje panu.

Rolecki: — Ależ, mistrzu... Na dzień dzisiejszy patrzeć możemy filozoficznie. Przyszłość rzecz rozstrzygnie. — Tu zwraca się do wchodzącej właśnie Ireny: — Prawda, pani sławo?

Irena: — Rozeszli się już. Chwała Bogu. Byłam tam i bałam się o was wszystkich.

Rolecki: — Czyż sława nie mogła nas obronić?

Irena: — Z zasady nie bronie wyśnianych.

Rolecki: — Chodźmy, mistrzu Tadeuszu. My zdaje się, nie mamy zasad, ale mamy zato serca czujące. Gorąca krew serca zaćmiewa nasz zimny rozsadek, i odbiera nam zasady. Chodźmy, mistrzu Tadeuszu.

Dziurdziński staje w drzwiach: — Pójdziemy razem, moi wy kochani. Bo i ja, zdaje się, zasad nie posiadam. Ale, nim odejdziemy, pozwolicie, że w obliczu tych zasadniczych ludzi i zasadniczej sławy, ofiaruję mistrzowi Tadeuszowi w dowód uznania... ot to! — podałam mi pek róż purpurowych.

Ja, z uśmiechem: — Ach! Boże!... To od pana?

Dziurdziński: — Odemnie, odemnie. Od starego Dziurdzińskiego bez zasad! Idźmy, mój drody! Smaczny mam dziś koniak!

Tak oto mój nowy dramat zrobił skandaliczną klape. Irena już ostatecznie odeszła odemnie. Gazyty podniosły larum. Zawrzała walka o mnie i o moje hasła. Miasto miało znowu o czym mówić i plotkować.

* * *

A ja... ja byłem chory i milczałem.

W moim mieszkaniu cicho i spokojnie. Zmierzch zasnuł już okna lekką przedzą szarą, i przedstawia także postacie rozmawiających. To Turski i Gebarski, którzy mnie przyszli odwiedzić, gawędza cicho o mnie, sadząc, że śpię.

Ja zaś leżę na kanapie i rozważam. I słucham.

Mówi Turski: — Śpi i śpi. A wczoraj miał dość dużą gorączkę. Obawiam się, że te przejścia wywołają w nim jakąś chorobę.

Człowiek on, że tak powiem, dziwny — odpowiada Gebarski. — Mógł mieć szalone powodzenie, huk pieniędzy, sławę i zaszczyty! Przecież tak się wspaniale zaczęło! A dziś...

Turski zaśmiał się lekceważąco: — Eh, to wszystko może się jeszcze zmienić. Wiem, że ma w tece powieść, która niewątpliwie bardzo się będzie podobała. I wydawcy proszą o nią. Dziś byli znowu. Widza przecie, że dziś już samo nazwisko uczyni rzecz pokupna.

A Tadeusz?

— Grymasi. Mówił nawet, że tej powieści wogóle nie wyda. Ale jego nastroje przecie zmieniają się codzień.

— To właśnie najgorsze. Trzeba na niego wpływać.

— Ba! Nie słucha! Jest przecie, mimo wszystko, wielkim poetą, sławą, i tworzy wspaniałe dzieła, a chociaż to ostatnie było rzeczą chybną, to jeszcze nic nie znaczy. Przed nim jest życie, zwycięstwa, sława. Jest młodym, zdolnym, silnym.

— Tak, tak. Niewątpliwie. Zły nastrój przejdzie....

Udaje dalej śpiącego. Gebarski wychodzi. Turski zapala papierosa i bezszelcnie błądzi po dywanie.

Cisza.

Nagle... gdzieś za ścianą... rozlegała się przy-
ciszone oddaleniem dźwięki fortepianu, a później
stłumiony śpiew:

Rozstajnych dróg ponury szlak

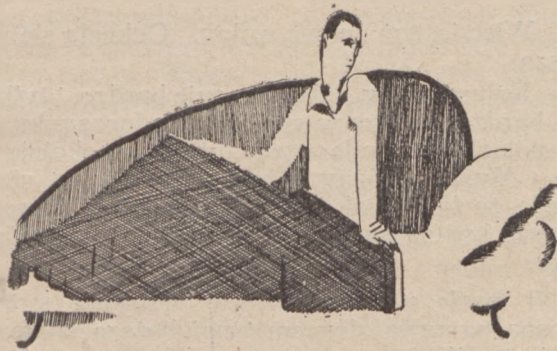
Gdzie wiedzie w dale śmieć?

Tajemnych drzeń serdeczny znak

Jaka ci wieści godzinę?

Turski przystaje i słucha. I ja siadam na ka-
napie i słucham.

Boże, mój Boże! Jakże chciwie słucham!



A przecież jestto moja własna pieśń, moja
„Pieśń na rozstaju“, która napisałem po tej prze-
dziwnej nocy, spędzonej z nieznanym starcem,
i do której przesławny Norcki stworzył melodie,
i która dziś jest sławna. Śpiewają ją tam, za ścia-
ną, sąsiadki-artystki teatru, bo chcą mi tem zrobić
przyjemność. A śpiew ten rozrywa mi serce, na-
prawde rozrywa mi serce.

Wybieraj pieśń, wybieraj śpiew,
Co się krwιά serca żywi,
Goraca krew, twa młoda krew,
Śpiew ten niech uszczęśliwi!

Ach, Boże mój! Sen z jawą tak się splata, jak
fala łączy się z falą. Jedno się słońce odbija w tych
falach, i prawda jedyna objawia się we śnie, czy na
jawie. A oto nie mam jeszcze prawdy. Mam talent,
mam rozum i pamięć, mam pieniądze i książki, ale
czyż mogę powiedzieć, że mam prawdę? A jednak
trzeba ją mieć.

Nie żałuj krwi, nie żałuj krwi,
Niech pieśń twa sercem szaleje!
Bo nacóż serce dano ci,
I wiare, co zorza dnieje?

A jednak serce to człowiek, to świat. I jeśli
nawet wszystko już było, to jednak krzywda jest
wciążnie nowa i wiecznie inna i krwawi codzien-
nie serca. A jedno serce to świat.

Czyż więc mogę pożałować krwi, choć dróg jesz-
cze nie znalazłem? Nie nie pożałuję. Bo jeśli nawet to
był tylko sen, to czyż zapomnieć można snu o krzyw-

dzie? Przedtem, przedtem były róże purpurowe, był
triumf i sława, i pycha i pewność panowania, i dani
rozkoszy... i sława... Miałem usta gorące jak lato,
a ona cała była tylko w mojej władzy. Tak. I odraci-
łem ją. To było przedtem, a potem... potem czy to
był tylko sen?

A jeśli nawet to był tylko sen, toć ja o nim nie
zapomnę. I z pamięcią o nim tak żyć nie mogę.
Wiec...

Starzec powitał mnie bez zdziwienia.

Zreszta nie dziwi się on niczemu. Sam jest
człowiekiem dziwnym, nie ot! tak sobie „po literacku“
dziwnym, lecz dziwnym prawdziwie i bardzo poważ-
nie. Zabłąkał się dziwnym trafem w ten wiek dwu-
dziesiąty, lecz, oczywiście, temu się nie dziwi (choć
dziwiał się inni), gdyż nie dziwi się, jak się rzekło,
niczemu, zawsze starając się wszystko rozumieć.
Poznał on prawdopodobnie wszystkie filozofie, o ja-
kich kiedykolwiek ktokolwiek z nas słyszał, lecz nie
stała w życiu bynajmniej poza dobrem i złem, wal-
czy spokojnie i zawsze, a wszystko to czyni po swo-
jemu, gdyż jest człowiekiem tak nawszkroś oryginal-
nym, tak niczemu i nikomu niepodległym, że aż to
czasem niecierpliwi i gniewa.

Starzec ma serce i umie patrzeć w serce; starzec
ma rozum, lecz umie cenić i rozum obcego czło-
wieka; starzec ma swoje niezachwiane wiary, ma swoją
prawdę i ma wole dobra potężną, lecz nikomu ani
swei wiary, ani swej prawdy, ani swej woli nigdy nie
narzuca. Lecz, mimo to, starzec ma w sobie dziwną,
nieodpartą wprost ogromną siłę przyciągania; lgną
ku niemu ludzie tak, że może wśród nich wybierać,
jak król.

I czyni swoje wielkie, cierpliwie, niestrudzone
dzieło Dobra, czyni bez przerwy.

Jedni wielbią go jako „tajemnego wodza“, inni
widzą w nim głęboki rozum i niezwykłą wiedzę,
jeszcze inni oryginalnego poety i artystę, jeszcze inni
doradcy i sedzigo, — a ja kocham go przedewszys-
tkim za jego serce, za to, że je ma i że nim cierpi,
że nim kocha, że jego głosem jest posłuszny, że je
uważa za człowieczą świętość, i że mając je czyste
i szczerą krew serdeczną zawsze i zawsze gorącą
tetniącą, umie tajemnie oczyma jego patrzeć w cudze
serca.

I jeszcze jedno: starzec umie szczerze prze-
baczać.

Pozdrawiam cię, dziwny człowieku tej ziemi!

— Nie mówmy o prawdzie. Prawda jest jak po-
wietrze. Czujesz jego dziwną, ustawiczną obecność
lecz jeśli byś go dotknąć chciał, nie znajdziesz.

— Poczóż więc mamy mówić o tak... rozległej
prawdzie — uśmiechnął się cicho starzec. Mówmy
o prawdzie potrzebnej człowiekowi. Mówmy o tej
prawdzie, która rozumiemy, więcej, która zrozumie-
liśmy tak, że odczuwamy nieodpartą, bezgraniczną,
wprost nieodwołalnie zadowolenia się domagającą po-
trzebę ukształtowania podług niej całego swego ży-

cia. Mówmy o tej prawdzie, która właśnie potrzebna jest nam tak, jak i... powietrze. A przecież do umiłowania takiej prawdy nie zawsze potrzeba, iżby była niezbita i ostateczna. Trzeba ją tylko mieć i trzeba ją kochać. To dość.

— Tak. To dość. Lecz gdzież jest ta prawda?

— Albo w sercu, albo nigdzie. Mówmy więc o prawdzie serc naszych. — Dobrze. Mówmy więc o prawdzie serc naszych, — po chwili zaś dodatem: Pozdrawiam cię, dziwny człowieku tej ziemi. Starzec uśmiechnął się melancholijnie.

A u naszych stóp dąsało ogromne miasto.

Widziało w ciemnych, rozlewnie majaczących zarysach, światłami luskającą a mgły białawe do szczytów swych wież tulące. Noc głucha, noc czarna ponad niem płynęła, a przez mroki tej nocy słyszałem wyraźnie rytm krwi zatrutej, bez przerwy bijący.

Tam — w bogatym śródmieściu — wre gorączkowe, bujne życie. Postawne kobiety chodzą po ulicach, kołysząc tegimi biodrami, pokusa rozkoszy zmierzcha się na łecach a w oczach rozświeca iskrami. Ulica szeroka samochody lśniąca mkna szybko huczająca gromada, tramwaje, dorożki, powozy i ludzie wciąż płyną, wciąż suną, wciąż jada.

Ulica daleka, złotych świateł rzeka przecina jak skrawie to miasto. Samotnik ulica przed trwoga ucieka, przed ziawa, krwi chciwa niewiasta. Mężczyźni dostojni, a zdrowi jak byki sił pełne samice i chamy, rechocząc rozgłosnie, suna jak pstre szyki w Użycia rozwarte wszere bramy. I huczy ulica i dąszw ulica, a żadza się wije jak żmieie, i zda się, wyblśnięie jak zła błyskawica, i przetnie i porwie, zabije!

Nad miastem tłum panuje!

O hej! Panuj tłumie! Tyś panem, ty chamie, ty klebie ohydny, bezwstydnny! We złotej stanaleś, ośleci, wielkiej bramie i tyś tu przed wszystkim jest widny!

O, panuj, o, kupuj każda wkolo cnote, bo stać cie, byś czynił to codzień! I zabij samotna, ogromna tesknotę, jeżeli potrafisz, ty, zbrodzień.

To miasto jest twoje! Twoje sa te sklepy, teatry i kina i wozy! Ze jesteś przyglupi i ciężki i ślepy, że żadza cie pęta w powrozy! O, panuj przeklety, i gub się podłoscia i zdrada wzajemna i zbrodnia! Wymorduj się wzajem o złoto, i zloscia zatruty idź za swa przewodnia: godzina rozkoszy tyle to i tyle, niech złoto, sie darmo nie sciera!

A w wieków minionych szarosmutnym pyle legenda ostatnia umiera....

Za wszystko więc złoto, — za wszystko więc złoto?! Cóż inne jest ważne, cóż znaczy?! Bez złota wszek jesteś bez siły holota, bez złota gnić mozesz w rozpaczy!

Daleko gdzieś dąszwa zdeptane niziny, i nędza wyszczerza zębiska! Cóż komu przyszłości nieznanę godzinę, gdy dzisiaj wkrag złoto połyska?!

Lecz dotknął mego ramienia starzec i przerwał mi ponuro — gniewna zadume. Powiedział:

— Z bezsenna zloscia tego ogromnego miasta walczy również bezsenne wielka miłość, zamknięta w sercu człowieka.

Więc jestem znowu wolny. Ocknęła się we mnie dusza.

Jestem wolny... choć pracuje bardzo, i tylko rzadko, bardzo rzadko, w godzinach odpoczynku, włóczę się polach. I myślę wtedy prosto, spokojnie, szczerze. Myślę o różnych ludzkich dolach i niedolach, myślę, że źle jednak jest w tym ludzkim świecie, choć zawsze kwitna nadzieie i choć wiosna przychodzi co roku.

I myślę sobie: ziemia w cudna się stroi szate, wiosna ogrzewa słońcem i najuboższa chate. Słońce jest miłosierne i wiosna piękna zawsze, a jeno ludzkie serce codzień się budzi krwawsze. To ludzie, zawsze ludzie nędze na ziemi sieja. Ohyde człowiek wnosi w las, gdzie się kwiaty śmieją. I przeklinają ludzie ziemię i los i Boga i gnienie ich złe brzemie i zgłna ich zła trwoga. Piękne jest słońce, ziemia i niebo i ta rzeka, lecz kiedyż kto uleczy serce i dusze człeka? I kiedyż kto to sprawi, by serce było czyste?

Gdy walke swa przegrywasz i meke swoja, Chryste?!

Lecz jestem wolny i spokojny. Wierze. Wierze w dzisiejsza prace moja i w słowa dziwnego starca. Albowiem, jeśliby słowa jego były tylko złuda, to czemuż jest świat?!

Przeto wierze. A jeśli los pozwoli mi kiedyś spisać nowy pamiętnik mej duszy, to będzie to księga presta i szczerai i mówić będzie o potędze miłości i o konieczności poświęcenia.

Koniec.

Willanów, w lipcu 1925 roku.

Wiktor Przecławski.



Ustawy inwalidzkie.

Wobec najzupełniejszego chaosu, jaki cechuje stosunek społeczeństwa do inwalidów, wobec najrozmaitszych projektów — niestety, tylko na papierze, zmierzających do stałego załatwienia spraw inwalidzkich, nie od rzeczy będzie przypomnieć treść istniejących już ustaw inwalidzkich, aby inwalidzi i społeczeństwo zdało sobie dokładnie sprawę z poczynani prawnych i z... faktycznego stanu rzeczy.

Ustawa inwalidzka z dnia 18 marca 1921 r., o zaopatrzeniu inwalidów wojennych i ich rodzin oraz o zaopatrzeniu rodzin po poległych i zmarłych, których śmierć znajduje się w związku przyczynionym ze służbą wojskową, podpisana przez Marszałka Trampczyńskiego, Prezydenta ministrów Witosa, Ministra Spraw Wojskowych De Henning-Michaëli's'a, Ministra Pracy i Opieki Społecznej Jankowskiego, Ministra Skarbu Steczkowskiego i Ministra b. Dzielnicy Pruskiej K. Kucharskiego, zawiera artykułów 58, które starały się ująć całokształt sprawy inwalidzkiej i załatwić ją możliwie raz na zawsze. Przyjrzyjmy się nieco tej ustawie. Za inwalidów wojennych uznawała ona osoby, które „doznały uszkodzenia zdrowia lub okaleczenia na skutek służby: a) w wojsku Rzeczypospolitej Polskiej, b) w uznanych przez Państwo Polskie wojskowych formacjach polskich przy armjach obcych, c) w armjach państw zaborczych, o ile służbę tę pełnili w czasie od 1 sierpnia 1914 r., w to: w armii niemieckiej do 27 grudnia 1918 r., w armii rosyjskiej do 1 marca 1918 r., w armii austriackiej do 1 listopada 1918 r., a posiadają prawo obywatelstwa polskiego, d) w walkach orężnych przeciw państwom zaborczym i nieprzyjacielskim o niepodległość Polski po 1 sierpnia 1914 r.“ Artykuł następny, trzeci, postanawia, że „za pozostałych po osobach, w art. 1 wymienionych, uważa się ich rodziny i osoby uprawnione do utrzymania przez nich, t. j. a) wdowa, b) dzieci ślubne, c) dzieci nieślubne, których oicostwo jest

prawnie stwierdzone, d) dzieci adoptowane, które były na utrzymaniu uprawnionych do zaopatrzenia z tytułu niniejszej ustawy, o ile adoptacja nastąpiła przed doznaniem uszkodzeniem zdrowia, e) rodzice“. Artykuł czwarty przewidywał ilość i rodzaj świadczeń. Jest ich wiele: a) zasadnicza renta inwalidzka, b) dodatki: 1. dla ciężko poszkodowanych, 2. kwalifikacyjne, 3. drożyzniane, c) zapomoga pogrzebowa, d) renty pozostałych, e) leczenie i doleczanie, f) zaopatrywanie w aparaty ortopedyczne, g) szkolenie, h) opieka społeczna.

Następuje szereg artykułów, zajmujących się dość szczegółowo sposobem obliczania rent, dodatkami kwalifikacyjnymi, dodatkami drożyznianymi, sposobami ubiegania się o przyznanie renty i t. d. Wyszczególnienie momentów, w jakich inwalida ma prawo korzystania z leczenia na koszt państwa, jest tu także zapisane. Dowiadujemy się, że inwalidzi mają prawo do bezpłatnej nauki w odpowiednich zakładach celem podniesienia lub odzyskania dawniejszej zdolności do pracy. Inwalidzi niezdolni do samodzielnego życia i pozbawieni opieki mogą być umieszczeni w odpowiednich zakładach na stałe. Bezrolni lub małorolni mają prawo do otrzymania od Państwa gospodarstwa rolnego w myśl ustaw z dnia 6 lipca 1920 r. Pracodawcy w rolnictwie, przemyśle, handlu i komunikacji nie mogą uchylić się od zatrudnienia na każdym 50 robotników i pracowników przynajmniej jednego inwalidy. Zdawałoby się więc, że prawo przewidziało wszystko, i że przeto sprawa inwalidzka została załatwiona. Ale pisane prawo i... życie... teoria i praktyka... Posłuchajcie, co mówi życie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W. W.

ONA.

(SZKIC)

P. HALINIE ŁUKASZEWICZÓWNIE.

Pierwszy raz ujrzałem Ją w skwarze lipcowego popołudnia. Dużo, dużo słońca, ciepła, młodości i radości życia. Szalone sny, myśli, marzenia. Ładne, ładne wspomnienia. Koniec

Długo nie widziałem Jej więcej. Mijały lata, podczas których myśl moja coraz rzadziej obok Niej krążyła. A serce? Cóż serce, ono wówczas spało.

* * *

Byłem w niewielkim pokoju. Jej pokoju. Słuchałem jak mówi. Miała dziwnie miły dźwięk głosu. Słuchałem uważnie. Na ścianie wisiał Jej portret, wokoło w małe ramki oprawne stały fotografie, z których słała mi zalotne uśmiechy, zadumane spojrzenia i kokieteryjne minki. Wszędzie była Ona, Ona, Ona...

* * *

Ulica. Dudniąca, szumiąca, trąbiąca, dźwięcząca ulica. Ja... Domy... Ludzie... Nuda. Samochody, dorożki, tramwaje, rowery, wozy, wózki, wózekki. Radości, smutki, troski, kłopoty, zawody, nadzieje, niespodzianki, tłum.

Szła wolno z podniesioną głową, darząc ludzi królewskim spojrzeniem. Pamiętam, że miała wówczas brązowy kapelusz i takie dziwne, dziwne oczy. Przeszła. Nie zauważyła mnie wcale. A ja stałem patrząc na miejsce, w którym zniknęła mi z oczu i myślałem. O czymże ja wówczas myślałem?

Woda. Płyńcie, rwąca, rzeźwiąca, wesółka. Dużo ludzi łaknących kąpiele.

Skaczą. Jeden, dwa. Plusk. Zniknęli. Nie są znowu. Płyną. Jak oni śmiesznie płyną. Pluszczą się. Pienia. Walczą z prądem. Jacy oni mali, słabi, biedni.

Ujrzałem Ją znowu. Stała wyprostowana jak struna, pyszna kształtami swego ciała w obcisłym trykocie i patrzyła w wodę. Z niecierpliwością spoglądałem rychło li zanurzy się w chłodzące fale. Czekam. Jeszcze nie. Stoi nieruchoma jak posąg. Jeszcze chwila. Już. Widzę dużo pieniących się bryzg, słyszę szum. Płynię...

Sala skłębiona. Uważajcie, panuje tu pan nowy, potężny i śmiały, a dziwnie zażarty. Zowią go „rytm“.

Huczy. Saksofon, trąba, bęben, skrzypce, piszczałka, fortepian. Gra, wybija, wyje, ryczy! Dosyć na miły Bóg, dosyć! Pary kręcą się, suną, tłoczą, depczą, pchają na wzajem. Szał. Ludzie się bawia! Jazband, schimy, charleston!

Ona jest wśród nich. Ona córka rytmu. Wabi uśmiechem tancerza, nogą wybija takt i tańczy, tańczy, tańczy.

Wiatr! Zimno jest. Dziwnie nieprzyjemnie. Drobny, drobiutki deszcz ze śniegiem chłodzi niemiłosiernie twarz.

Idziemy. Otulona w futrzany kołnierz zimowego palta nie mówi nic.

Za nami zostali ludzie. Stąpamy po zamarzniętych deskach tuż, tuż nad wodą. Dochodzimy do małego, pływającego domku rybaka.

Od Niej promienieje poprostu szczęście. Weszła. Długo dosyć bawiła w biednym pływającym domku. Wreszcie ujrzałem ją znowu. Za nią wychyliła się nędzna, brudna postać starej kobiety, obсыpująca Ją dziękczynieniami i błogosławieństwami. Jak dziwnie odbijają od poczciwej rybaczkii Jej ładna elegancka postać.

Śledziłem Ją uważnie i zauważyłem coś nowego. W oczach miała niezwykle błyski. Czyżby rozrzewnienie?

Ona potrafi być i dobrą. Nie wiem co się z Nią stało. Zniknęła jak meteor gnana zawrotnym tempem życia. Biedna nie mogła powstrzymać fali. Fala ją uniosła gdzieś daleko, daleko... może ku przepaści?

A ja siedzę zawsze sam. Śnię o minionej młodości. Żyję powoli, bardzo powoli, zaczynam poznawać instykt śmierci i gardzić światem. Niekiedy myślę o Niej. Wspominam sobie owe szalone czasy, w których poprzez moją cichą powszedniość przesunął się cień wspaniałego zjawiska.

iCień. Tylko cień. Robi mi się smutno. Dlaczego? Lecz gdy sobie przypominam mały, pływający domek rybaka i te dziwne szlachetne błyski w jej oczach, doznaje pociechy.

Nie, to niemożliwe, Ona nie jest córą panującego podówczas na świecie jazbandu. I znowu mogę o niej myśleć jak o najładniejszej złudzie mego życia.

Jerzy Lewestam.



Działalność Kas Chorych w Polsce.

I.

POWIATOWA KASA CHORYCH W CZĘSTOCHOWIE.

Sprawozdanie roczne za 1926 rok z działalności powiatowej Kasy Chorych w Częstochowie.

WSTĘP.

Niniejsze sprawozdanie jest drugim z rzędu sprawozdaniem rocznym z działalności Powiatowej Kasy Chorych w Częstochowie i obejmuje wszystkie jednostki administracyjne Kasy, tak pod względem organizacyjnym, jak i zakresem działania. Powiatowa Kasa Chorych w Częstochowie rozpoczęła swą działalność z dniem 1 grudnia 1922 r. Komisarzem Kasy Chorych od początku jej istnienia aż do chwili oddania administracji Kasy wybranemu przez Radę Zarządowi, był Komisarz Powiatowej Kasy Chorych w Sosnowcu, p. Kazimierz Osiołowski, który swe funkcje Komisarza wykonywał przy pomocy swego zastępcy, p. Tadeusza Witkowskiego.

Pierwsze wybory do Rady Powiatowej Kasy Chorych odbyły się w dniach 22, 23 i 24 czerwca 1924 r.

RADA KASY.

Wybrana w dniach 22, 23 i 24 czerwca 1924 r. na podstawie postanowień art. 62 ustawy z dnia 19/5 1920 r. Dz. U. Nr. 44, pozycja 272, — Rada Kasy składa się z 90 Delegatów i tyluż zastępców. Przewodniczącym Rady wybrany był pierwotnie p. Antoni Kiermas, który w lipcu 1925 r. ze stanowiska tego zrezygnował. W miejsce p. Kiermasa wybrała Rada na posiedzeniu w dniu 5 września 1925 r. p. Romualda Jarmułowicza, który też obowiązki te dotychczas spełnia. Zastępcą Przewodniczącego Rady jest p. Antoni Furmańczyk.

ZARZĄD KASY.

Zarząd Kasy Chorych uległ w ciągu roku 1926 dwukrotnej zmianie osobowej, a to z uwagi na konieczność przeprowadzenia uzupełniających wyborów z powodu wylosowania po 1/3 części członków Zarządu, z czego pierwsze losowanie winno się było odbyć w roku 1925.

Przy uzupełniających wyborach w dniu 5 czerwca wybrani zostali tak z grupy pracodawców, jak i ubezpieczonych ci sami członkowie Zarządu, którzy zostali wylosowani, jako ustępujący, a mianowicie: z grupy pracodawców p. Kaliniewicz; z grupy ubezpieczonych pp. Cardini, Brzozowicz, Chrzastek, Michał Szlezynghier. Tu zaznaczyć należy, że drugi przedstawiciel pracodawców przy wyborach, odbytych w dniu 5 czerwca r. 1926, nie został wybrany z powodu unieważnienia zgłoszonej listy, natomiast wyboru tego dokonano dodatkowo na posiedzeniu Rady w dniu 28 sierpnia 1926 r.

Przy wyborach w miejsce członków Zarządu ustępujących z wylosowania w roku 1926, które odbyły się w dniu 28 sierpnia 1926 r., wybrani zostali w miejsce ustępujących, za wyjątkiem p. Turniaka, w miejsce którego wszedł p. Paradowski, ci sami członkowie, którzy zostali wylosowani, a mianowicie: pp. Dziuba, Chojnacki, Stanios, zaś z grupy pracodawców pp.: Więclawski i Dawidowicz, a nadto p. Kozerski, jako dopełnienie z niedokonanych wyborów w dniu 5 czerwca 1926 r., ponadto z grupy ubezpieczonych zrezygnował p. Cardini, na miejsce którego wszedł p. Sieński.

Na posiedzeniu Zarządu w dniu 15 września 1926 r. dokonano wyborów: Przewodniczącego w osobie p. Wichury i Viceprzewodniczącego w osobie p. Stillera, wobec czego obecny skład Zarządu przedstawia się, jak następuje:

Przewodniczący Zarządu — P. Edward Wichura.

Zastępca Przewodniczącego Zarządu — p. Zygmunt Stiller. Członkowie: pp. 1) Leopold Bałaga, 2) Waclaw Brzozowicz, 3) Waclaw Chojnacki, 4) Stefan Chrzastek, 5) Joachim Dawidowicz, 6) Józef Dziuba, 7) Stanisław Kaliniewicz, 8) Karol Kujawski, 9) Piotr Kozerski, 10) Ludwik Próba, 11) Bronisław Paradowski, 12) Wiktor Stanios, 13) Józef Starke, 14) Dobrosław Sieński, 15) Michał Szlezynghier, 16) Józef Więclawski.

Zarząd Powiatowej Kasy Chorych w Częstochowie odbył w ciągu roku 1926 — 30 posiedzeń zwyczajnych i 4 posiedzenia nadzwyczajne i załatwił 487 różnych spraw. Nadto wyłonił z siebie Komisję: budowlaną, apteczną, budżetową i komisję dla spraw szpitala P. K. Ch. w Rakowie.

DYREKTOR KASY.

Dyrektorem Kasy jest od 17 grudnia 1925 r. p. Wojciech Miłkowski, w którego to rękach spoczywa kierownictwo Kasy i wszystkich innych spraw, związanych z organizacją Kasy i uchwałami Zarządu.

INSPEKTOR KASY.

Celem najskrupulatniejszego badania wszystkich zażaleń, składanych na urzędników i lekarzy Kasy Chorych, jako też celem bezpośredniego zetknięcia się z ubezpieczonymi dla omówienia spraw, które w wielu wypadkach z tych, czy innych względów nie dadzą się opisać — Zarząd Kasy Chorych na wniosek Dyrektora Kasy ustanowił etat inspektora Kasy, który to urząd spełnia od lipca 1926 r. p. Józef Kaźmierczak. Czynności Inspektora Kasy wykazują 15 lustracji, dokonanych w ambulatoriach i szpitalu Kasy Chorych i 137 dochodzeń w różnych sprawach, powodowanych tak zażaleniami ubezpieczonych, jak i innymi okolicznościami.

WYDZIAŁ ADMINISTRACYJNY.

Stanowisko Naczelnika Wydziału Administracyjnego, który równocześnie winien być i zastępcą Dyrektora nie jest dotychczas ze względów oszczędnościowych obsadzone, a zastępczo pełni obowiązki Naczelnika Wydziału referent p. Eugenjusz Fulman.

Wydziałowi temu podlegają:

Referat osobowy 1 urzędnik, Referat Reklamacyjno-Karny 2 urzędników, Referat Gospodarczy 3 urzędników, Kancelaria Kasy 3 urzędników i 2 maszynistki.

Wpływ aktów za rok 1926 wynosi 26.702 aktów. Nadto dzienny ruch w wydziale administr. i poszczególnych referatach wynosi przeciętnie:

U urzędnika informacyjnego	200	osób
„ referenta osobowego	10	„
„ „ Rekl. Karn.	30	„
„ „ Gospodarczego	15	„
W kancelarii Kasy	50	„

R a z e m 350 osób dziennie.

Odnosnie ilości załatwionych aktów, to biorąc za podstawę 300 dni roboczych w roku, wypada do załatwienia na jeden dzień pisemnie 87 spraw.

Z tytułu art. 16 ustawy z dnia 19.5 1920 r. (kary za nieubezpieczenie) wymierzono 735 osobom, zaś za niepotrzebne wzywanie lekarzy do domu 545 osobom.

WYDZIAŁ FINANSOWY.

Na czele Wydziału Finansowego stoi Naczelnik Wydziału, p. St. Kinderman, pełni on równocześnie w razie nieobecności dyrektora — funkcje zastępcy dyrektora.

W skład Wydziału wchodzi:

- 1) Buchalterja, 4 urzędników;
- 2) Inkaso i egzekucja 6 urzędników, 7 egzekutorów i inkasentów;
- 3) Kasa 2 urzędników;
- 4) Referat Rejestracji 10 urzędników i 4 kontrolerów;

5) Rachuba 6 urzędników i 4 kontrolerów;

6) Wyplata zasiłków 2 urzędników.

Przeciętna ilość stron załatwionych ustnie przez cały Wydział Fin. 500 osób dziennie.

Z czynności Wydz. Fin. podkreślić należy: ostateczne uporządkowanie buchalterji i bilansów za lata 1922, 1923, 1924, które z powodu ich niedokładnego sporządzania przez ówczesne kierownictwo Kasy Chorych były kilkokrotnie zwracane przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej do przereobnienia.

STAN CZŁONKÓW.

W dniu	Mężczyzn	Kobiet	Razem	Czł. rodzin
31 grudnia 1925 r.	19 053	14 662	33.715	42 602
30 czerwca 1926 r.	23.52	4 148	37.930	48 130
31 grudnia 1926 r.	23.316	15.026	39.372	48 810

WYDZIAŁ LEKARSKI.

Lekarzem Naczelnym w roku 1926 był p. Dr. Stefan Purski. Zreorganizowany Wydział Lekarski rozpoczął swe czynności od 1 listopada 1925 r. i od tego też czasu w skład Wydziału Lekarskiego wchodzi:

- 1) Referat lecznictwa,
- 2) Referat Farmaceutyczny.

Przeciętny dzienny ruch interesantów w Wydz. Lekarskim 250 osób. Ilość urzędników 6 i 3 kontrolerów chorych.

Referat farmaceutyczny obsadzony jest chwilowo prowizorycznie.

W dziale lecznictwa należy wspomnieć o następujących uchwałach Zarządu:

- a) zamianowano stałym lekarzem naczelnym Dr. Stefana Purskiego,
- b) rozszerzono leczenie elektroterapią, rentgenem na wszystkich członków i ich rodziny, kto tego potrzebował; dla wyjaśnienia zaznaczyć należy, że w roku 1925 włącznie leczenie to było ograniczone,
- c) zorganizowano leczenie dentystryczne w ten sposób, że lekarze-dentyści przyjmują członków Kasy Chorych i ich rodziny u siebie w domu.

Reorganizacji tej dokonano z tych względów iż dzięki brakowi odpowiednich lokali, a tem samem możliwości rozwinięcia leczenia dentystrycznego, leczenie to do końca 1925 pozostawiało bardzo wiele do życzenia. Również i dziś stan z różnych przyczyn nie jest idealny i po wybudowaniu gmachu centralnego będzie on zreformowany i najprawdopodobniej powróci się do systemu ambulatoryjnego.

- d) zakupiono i uruchomiono lampę kwarcową w szpitalu P. K. Ch. w Rakowie, co daje możliwość korzystania z tej lampy nie tylko chorym w szpitalu, ale również ubezpieczonym i członkom rodzin mieszkającym w Rakowie i okolicy;
- f) powiększono udział w Kolonii Dziecięcej w Busku, celem umożliwienia leczenia większej ilości dzieci tamże;
- g) poczyniono starania celem uruchomienia własnej przychodni przeciwgruźliczej. Sprawa ta odwleka się w nieskończoność, dzięki brakowi odpowiedniego lokalu.

W międzyczasie powstało na terenie miasta Częstochowy Towarzystwo Przeciwgruźlicze, w akcji którego Zarząd Kasy Chorych pragnie wziąć wybitny udział, celem umożliwienia członkom Kasy Chorych i ich rodzinom odpowiedniego leczenia i zapobiegania przeciw chorobom gruźliczym.

W tym celu Zarząd Powiatowej Kasy Chorych uchwalił asygnować T-wu Przeciwgruźliczemu na uruchomienie przychodni kwotę 3,000 złotych, a nadto przyobiecał stałą subwencję miesięczną.

Niestety, tak, jak Zarząd Kasy Chorych nie był w stanie uruchomić własnej przychodni przeciw-

gruźliczej z powodu braku odpowiedniego lokalu, tak samo, na te same trudności napotyka T-wo Przeciwgruźlicze. Niezawisłe od tego, Zarząd Kasy Chorych w dalszym ciągu robi starania o uzyskanie długoletniej dzierżawy placu, na którym stoi dom Kasy Chorych w Herbach Polskich, a to celem urządzenia tamże półsanatorium gruźliczego dla gruźlicy rozpadowej. Punkt ciężkości spoczywa w Dyrekcji Lasów Państwowych, oraz w Ministerstwie Rolnictwa w Warszawie. Są jednak wszelkie dane ku temu, że długoletnia dzierżawa placu uzyska się, a wówczas przystąpi się do odpowiedniego przerobienia budynku na sanatorium.

h) Deklarowano 2 udziały na rozbudowę sanatorium w Bystrej, stanowiącego własność Okręgowego Związku Kas Chorych, a to celem zabezpieczenia sobie stałych miejsc w temże sanatorium i wysłanie tam chorych piersiowych;

i) Wystąpiono do miarodajnych czynników o przydział z parcelującego się majątku Kamień 10 mórg ziemi na wybudowanie lecznicy, względnie szpitala, ewentualnie domu uzdrowieńców. Sprawa ta jest jeszcze niewyjaśniona i niewiadomo, czy odpowiedni kawałek gruntu się otrzyma i na co będzie mógł być użytkowany;

j) Rozważano kilkakrotnie sprawę uruchomienia leczenia dentystrycznego na prowincji. Niestety, dzięki brakowi odpowiednich lokali sprawa ta nie mogła być posunięta w sensie pozytywnym naprzód. Obecnie rozważa się sprawę uruchomienia ruchomego ambulatorjum dentystrycznego, jednak zachodzi obawa, czy ze względu na stan dróg w powiecie, względnie brak takowych, dojazd do środowisk gdzie mieszkają członkowie Kasy Chorych będzie możliwy i czy zakupienie takiego samochodu, którego kosztorys wraz z urządzeniem wyniesie zgórá 40,000 złotych, się opłaci.

Sprawę tę uważa Zarząd za bardzo ważną i piekaca i w ciągu roku 1927 będzie chciał ją rozwiązać w sensie dodatnim, przynajmniej tam, gdzie będzie to możliwe.

k) Uruchomiono stałe pogotowie lekarskie dzienne i nocne, które udziela pomocy członkom Kasy Chorych i ich rodzinom, a w ostatnich dniach na skutek prośby Magistratu, także mieszkańcom miasta Częstochowy.

Jako jednostki lecznicze Kasa Chorych posiada:

a) 19 ambulatorjum, a mianowicie:

Amb. 1. Zawodzie, Kaczorowska 15.	Amb. 11. Konopiska—Dźbów
„ 2. ul. Stradomska 40.	„ 12. fabr. Gnaszyn
„ 3. ul. Strażacka 2.	„ 13. Rudniki
„ 4. ul. Dąbrowskiego 8.	„ 14. Złoty Potok
„ 5. fabr. Częstochowianka	„ 15. Kłobuck
„ 6. Huta Raków	„ 16. Motte
„ 7. Blachownia	„ 17. fabr. Peltzery
„ 8. fabr. Wyczerpy	„ 18. fabr. Warta
„ 9. Kamienica Polska	„ 19. Krzepice, z tego 8
„ 10. Wrzosowa	w mieście, zaś 11 na
	provincji.

W ośmiu ambulatorjach miejskich są ambulatorja specjalistyczne, jak oczne, ginekologiczno-akuszerskie, weneryczne i chirurgiczne. Nadto dwóch lekarzy laryngologów (choroby uszu, gardła, nosa i t. p.) przyjmuje u siebie w domu. Ambulatorjum dla dzieci jest dotychczas łącznie z ambulatorjum chorób wewnętrznych, t. j. ambulatorjum Nr. 3 i Nr. 5.

b) jeden szpital dla chorych wewnętrznych w Rakowie na 68 łózek,

c) 3 apteki własne,

d) Dr. Kon-Konar wykonywuje prace analityczne, t. j. wszelkie analizy i badania bakteriologiczne u siebie w domu,

e) Dr. Bram przyjmuje chorych potrzebujących leczenia i prześwietla aparatem Roentgena, zaś Dr. Grunbaum, Dr. Bram i Spółka Lekarska leczą elektroterapią,

f) Szpitale miejskie, jak również szpital żydowski leczą członków Kasy Chorych i ich rodziny.

W ciągu roku 1926 dokonano porad i zabiegów, wydano recept, leczono i t. p., jak następuje:

I. Udzielono lekarskich porad:

w ambulatorjach: 326,147, **więcej** niż w roku 1925 o 104,244,
w domu: 33,369, **więcej** niż w r. 1925 o 14,664.

felczerskich porad:

w ambulatorjach: 90,940, **więcej** niż w roku 1925 o 20,180,
w domu: 10,765, **mniej** niż w r. 1925 o 5,132,
dentystrycznych zabiegów: 63,574, **więcej** niż w r. 1925 o 17,254,
pomocy akuszerskiej: 3,406, **mniej** niż w r. 1925 o 394,
Lekarze laryngolodzy udzieliли u siebie w domu 9,763 porad,
więcej niż w r. 1925 o 2,320 porad.

II. W szpitalu własnym leczono chorych przez 17,214 dni, **więcej** o 3,834 dni, zaś w szpitalach obcych przez 42,629 dni, **mniej** o 17,285 dni, **ogółem dni szpitalnych 59,843 dni.**

III. Apteki własne wydały lekarstw na 161,473 recepty, **więcej** niż w roku 1925 o 36,473 recepty, zaś apteki prywatne 112,423 recepty, **mniej** niż w roku 1925 o 4,344 recepty, **razem recept 273,896, więcej** niż w roku 1925 o 32,129 recept.

IV. Dr. Kon-Konar dokonał 2231 analiz, **więcej** niż w roku 1925 o 143 analizy.

V. Trzy gabinety lecznicze elektroterapią przyjęły 1736 osób, **więcej** niż w r. 1925 o 13 osób.

VI. Wysłano do ustalenia dajagnozy do Krakowa osób 44, **więcej** niż w roku 1925 o 13 osób.

VII. Wysłano na kurację do Buska 13 osób, **więcej** o 5 osób niż w roku 1925 i 75 dzieci, **więcej** o 21 dzieci niż w roku 1925.

VIII. Wyplacono zasiłków 13,474 osobom w kwocie 702,315 zł. 08 groszy.

IX. Pogotowie lekarskie udzieliło pomocy w wypadkach 5,136, z czego przynajmniej 35% okazało się nieuzasadnionych.

W porównaniu do powyżej wykazanych cyfr, obejmujących świadczenia w Kasie Chorych, ubezpieczonych było przeciętnie 33,967 osób, **więcej** o 2,404 osoby niż w roku 1925, zaś członków rodzin

40,014 osób, więcej o 14 osób, ogółem 73,981, więcej o 2,417, niż w roku 1925.

Sumując porady lekarskie w ambulatorjach i w domu, porady felczerskie w ambulatorjach i w domu, zabiegi dentystryczne, pomoc akuszerzyńską, leczenia lekarzy laryngologów i analizy dokonane przez D-ra Kon-Konara, okazuje się, że każdej osobie z liczby 73,981, okazano w ciągu roku 1926 — 7,3 zabiegów i pomocy lekarskich.

Cyfry powyższe świadczą również o tem, że jakkolwiek stan osób, którym Kasa Chorych obowiązana jest udzielić świadczeń wzrósł w stosunku do roku 1925 tylko o 2,417 osób, co wynosi około 3½%, to przecie świadczenia lekarskie w stosunku do roku 1925 wzrosły jak następuje:

naświetlania i prześwietlania rentgenem zgorą 120%,

leczenie elektroterapią blisko o 150%,

do Krakowa wysłano blisko o 40%,

do Buska " " " 60%,

zaś recept załatwiono więcej o 32,131, co stanowi około 15%.

Z tego cyfrowego zestawienia wynika, że świadczenia Kasy Chorych w stosunku do ubezpieczonych są coraz większe, że Kasa Chorych tylko przy sprężystej administracji może podoląć swoim obowiązkom.

Tu zaznaczyć należy i to, że obciążeniem deficytowem dla Kasy Chorych są w dalszym ciągu ambulatorja prowincjonalne, wprowadzie już nie w takim stopniu, jak w latach poprzednich, jednak zawsze deficyt się znajduje.

Powyższe sprawozdanie wykazuje również, że nie wszystkie zamierzenia Zarządu na rok 1926 zostały zrealizowane, a w szczególności nie zakończono starań o długoletnie wydzierżawienie placu w Herbach Polskich. Brak odpowiednich lokalii na pomieszczenie ambul. gruźliczego, ambul. dzieciennego i fizykalnego leczenia, nie pozwoliły na realizację zamierzeń odnośnie uruchomienia tych działów leczenia we własnym zakresie. Zamierzenia te dzięki budowie gmachu centralnego wrowadzone będą w czyn w ciągu roku 1928 z wyjątkiem uruchomienia sanatorium w Herbach Polskich, które to uruchomienie zależne jest od ostatecznej decyzji Ministerstwa Rolnictwa.

Odnosnie zaprowadzenia legitymacyj z fotografiami, Zarząd Kasy Chorych zaniechał narazie wprowadzenia takowych raz z uwagi na to, iż ma nadzieję, że ubezpieczeni w swoim własnym interesie porzucą chęć nadużyć z legitymacjami, z dru-

giej zaś strony z powodu dużych kosztów, jakieby z tego tytułu wynikły, tak dla ubezpieczonych, jak i Kasy Chorych.

Z zamierzeń na przyszłość wysuwa się na pierwszy plan kardynalna konieczność jaknajszybszego wybudowania i uruchomienia gmachu centralnego, przez którą to czynność cały szereg ważnych problemów w dziedzinie administracji i leczenia w Kasie Chorych będzie rozwiązany. Rzecz prosta, że całkowite uzdrowienie stosunków i postawienie leczenia na należytych poziomach nie zakończy się budową gmachu centralnego, gdyż dalszym etapem tego czy innego Zarządu Kasy Chorych i kierownictwa Kasy Chorych, winno być bezwzględnie dążenie do tego, aby z uwagi na fatalny stan i przepełnienie szpitali miejskich, jak również wysokie koszty płacone tymże szpitalom, przystąpić do budowy własnego szpitala, a następnie do budowy ambulatorjum prowincjonalnych, w których ubezpieczeni mogliby być pod względem leczenia jaknajlepiej załatwiani.

Dyrektor Kasy:

(—) W. Miłkowski.

Przewodniczący Zarządu:

(—) E. Wichura.

II.

POWIATOWA KASA CHORYCH W LIPNIE.

Kasa działalność swą rozpoczęła 1 marca 1925 roku.

Rada Kasy wybrana w 1926 roku składa się z 45 członków; Przewodniczący Rady Dr. Eugeniusz Górnicki.

Zarząd Kasy składa się z 9 członków; Przewodniczący Zarządu Adam Szostek.

Kierownik Kasy Karol Mieczysław Bochenek. Lekarz Naczelny Kasy Dr. Leon Zylowski.

Ilość członków Kasy — 2059, członków rodzin 2802.

Kasa posiada przychodnię lekarską z lampą kwarcową i przychodnię dentystryczną w Lipnie oraz przychodnię lekarską w Chełmicy.

W Lipnie Kasa zatrudnia 5 lekarzy, a w powiecie 4 lekarzy, którzy udzielają pomocy ubezpieczonym i członkom ich rodzin w własnych ambulatorjach.

Ponadto zatrudnia Kasa jednego felczera i dwie sanitariuszki.

Różne prawdy w aforyzmach.

GENJUSZ.

Gdyby ludzie wiedzieli, że genialność jest identyczna z uniwersalną odpowiedzialnością, prawdopodobnie większość stroniłaby od zaszczytu genialności.

Genjusz, który staje się obłąkanym, nie chce

być już genjuszem. Chce zamiast wartości etycznych — szczęścia.

„Im wyżej stoi człowiek, tem głębiej może upaść“. — Wszelki genjusz jest zwycięstwem nad nicością i ciemnotą, a skoro wynaturza się i marnieje, — to tem ciemniejszą noc pozostawia po sobie, im jaśniejszą błyszczał przedtem.

KOBIETA.

Ponieważ kobiety są tylko zmysłowe, nie umiają zauważyć zmysłowości, podobnie — jak nie umiają zauważyć wielu innych rzeczy; brak im niezbędnej dwoistości.

Wstydlivość kobieca jest tylko pruderia, to znaczy demonstracyjnym zaprzeczeniem własnej nieczystości i obrona przed nią.

Gdy ktoś płacze, kobieta płacze razem z nim, podobnie śmieje się zawsze, gdy ktoś się śmieje, chyba — żeby się ktoś śmiał z niej samej; w ten sposób można wytłumaczyć wiele przykładów współczucia niewiasty.

„Kobieta to sfinks!“ Większego głupstwa chyba nigdy nie powiedziano.

Męczyzna bowiem jest nieskończenie bardziej zagadkowym i nieporównanie bardziej skomplikowany.

Trzeba tylko wyjść na ulicę; mało znajdziemy twarzy kobiecych, których wyraz byłby trudnym do odgadnięcia. Skala uczuć i nastrojów u kobiety jest tak nieskończenie uboga! Tymczasem ileż to twarzy męskich pozostaje na długo trudna zagadka.

MEŻCZYŻNA I KOBIECIA.

Kobiety posiadają wprawdzie dar języka, ale nie posiadają daru mówienia, kobieta konwersuje (kokietuje), albo gdera, ale nie mówi. Najniebezpieczniejsza jednak jest dla mężczyzny, kiedy zamilknie; albowiem mężczyzna zbyt skorym jest uważać zaniemówienie za milczenie.

Jedynie mężczyzna, stając się płciowym, daje kobiecie byt i znaczenie. Stawszy się samcem, mężczyzna jest fatum kobiety; Don Juan to jedyny człowiek, wobec którego kobieta odczuwa dreszcz do głębi.

KOBIETA „MATKA“ I KOBIECIA „KOCHANKA“.

Absolutnej kochance zależy tylko na mężczyźnie, absolutnej matce tylko na dziecku, (kamieniem probierczym będzie najpewniej stosunek do córki —

kobieta kochanka i) kobieta matka różnią się stosunkiem do dziecka).

Absolutna matka, której zależy jedynie na dziecku, zostanie matką każdego mężczyzny. Zostawszy matka nie troszczy się więcej o mężczyznę.

Absolutna kochanka, już w dzieciństwie nie znosi dzieci. Potem służy dziecku do zainscenizowania idylli „matka i dziecko“, idylli, która wzrusza mężczyznę i przyciąga do siebie. Jest kobieta, która czuje nieodpartą potrzebę podobania się wszystkim mężczyznom.

Ponieważ niema absolutnej matki, można w każdej kobiecie odkryć choć ślady owego ogólnego popędu każącego starać się podobać mężczyźnie.

MIŁOŚĆ.

Miłość „platoniczna“ istnieje, iakkolwiek profesorowie psychiatrii nie wierzą w nią. Powiedziałbym: istnieje tylko miłość „platoniczna“. Miłość jest tylko jedna, miłość do Beatryczy, uwielbianie madonny — dla innych uczuć jest babilońska Astarte.

Podobnie jak żądza wiedzy jest tęsknota i miłością do rzeczy, w których zawsze człowiek odnajdzie tylko siebie, tak przedmiot miłości w ścisłym tego słowa znaczeniu tworzą dopiero kochankowie i odnajdują jedynie siebie.

Beatrycza byłaby równie niecierpliwą jak Mesalina, gdyby modliła przed nią na kolanach miała trwać zbyt długo.

ZBRODNIARZ.

Mord jest samoobrona zbrodniarza; chce on przez mord udowodnić, że nic nie było.

Z ZAGADNIEŃ PSYCHOLOGICZNYCH.

Rozumieć człowieka, znaczy, być nim również.

Z dzieł Ottona Weininger zebrał W. Poz.

KRONIKA INWALIDZKA.

NOWE WYDAWNICTWO.

Od Komitetu Organizacyjnego Zjazdu byłych więźniów ideowych z lat 1914 — 1921 (Sekcja historyczna), otrzymujemy komunikat następujący:

W związku z dziesiątą rocznicą internowania Twórcy Legionów i Jego żołnierzy, przystępuje specjalnie wyłoniony Komitet do wydania t. zw. „Szopki Benjaminowskiej“ i „Sprzymierzeńca“. Obydwa powyższe wydawnictwa nie były dotychczas publikowane drukiem; z perspektywy ubiegłych dziesięciu lat, żywe te i barwne wspomnienia, zaprawione „leguńskim“ humorem, posiadają dzisiaj dużą wartość historyczną.

Autorem treści obu powyższych wydawnictw, oprócz wierszy Józefa Relidzińskiego, jest ppłk. Wacław Biernacki, dowódca 38 p. p.; karykatury i ilustracje wykonywali: gen. Burhardt-Bukacki, gen. Młodzianowski i ppłk. Jarnuszkiewicz.

Przypuszczalny termin wydania: koniec października 1927 r.

Cena zostanie ustalona w zależności od ilości zgłoszeń; obydwie wydawnictwa wyjdą oddzielnie w ściśle ograniczonej ilości. Dążeniem Komitetu Wydawniczego jest ustalenie możliwie niskiej ceny sprzedażnej celem uprzystępnienia wydawnictw jaknajszerszym sferom.

Cześć ewentualnego czystego zysku zostanie przeznaczona następująco: na schronisko sierot po poległych wojskowych w Warszawie (Koszary Blocha), oraz pomnik ś. p. płk. Lisa-Kuli.

Osoby, pragnące nabyć powyższe wydawnictwa, zechca nadsyłać zamówienia na kartkach pocztowych wzgl. blankietach nadawczych P. K. O. pod adresem: kpt. Roman Śliwa, Warszawa, Pańska 111 m. 21, oraz wpłacić równocześnie zadatek w kwocie 5 (pieć) zł. za pośrednictwem P. K. O. na numer 45272; jedynie w ten sposób da się racjonalnie zorganizować zamierzone wydawnictwo, uregulować ściśle nakład zależnie od faktycznego zapotrzebowania i obniżyć koszty, oraz cenę sprzedaży.

P. P. wojskowi służby czynnej mogą otrzymać oba wydawnictwa na spłatę miesięczną.

WYPRAWA INWALIDÓW POLSKICH NAOKOŁO ŚWIATA.

Trzej inwalidzi wojsk polskich, Pp. Biller Michał, Biller Albert i Gromczyński Stefan, ochotnicy z r. 1920, o których pisaliśmy już w numerze piątym, rozpoczęli swą wyprawę naokoło świata w dniu 17 września. Podróż ich trwać będzie sześć lat. Głównym celem tej podróży jest propaganda na rzecz Polski i zawiązanie bliższych stosunków z organizacjami inwalidzkimi i b. wojskowych. Podróżnicy wiozą ze sobą t. zw. księgi złote, z których na wyróżnienie zasługuje księga, mieszcząca podpisy Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego, pana Marszałka i Premiera, Józefa Piłsudskiego, oraz wszystkich ministrów. Ciekawa jest księga handlowców, w której figuruje około 300 podpisów z prezesem Lewiatana posłem Andrzejem Wierzbickim na czele. Niepodobna nie zaznaczyć, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych, aczkolwiek interesuje się tą wyprawą, nie przywoziło się niczem do jej zorganizowania i nie pomogło jej uczestnikom nawet w sprawie samej propagandy. Tymczasem dzielnych inwalidów i ich śmiała inicjatywa można przecie w niejednej sprawie wykorzystać. Można ich było zaopatrzyć przynajmniej w odnośne broszury i książki. Ale podobno nawet o tem nikt nie pomyślał.

Dzielnym inwalidom, którzy z podziwem godną cierpliwością i wytrwałością potrafili zorganizować z niczego i bez żadnej wydatnej pomocy trudną wyprawę, życzy my szczerze powodzenia i szczęśliwej wędrowki przez dalekie kraje.

KORESPONDENCJA Z WISŁY.

Na Śląsku Cieszyńskim, o dziesięć kilometrów od naprawde ustromej stacji, Ustron, leży największa wieś polska, Wisła. Ażeby dostać się do tego uroczego zakątka z Warszawy, trzeba się trzykrotnie przesiadać. (Oj te rozkłady kolejowe! choć jeden wagon bezpośredni!), aby w Ustroniu wsiąść do autobusu, który zdarłszy skórę z człowieka, rozbija niemożliwie w swem wnętrzu, (zresztą jest w tem trochę winy fatalnie utrzymanej szosy).

Lecz o wszystkich meczarniach drogi predko się zapomina, gdy się jest na miejscu. Widząc naokoło rozpościerające się Beskidy Zachodnie, wabiące jasną zielonością swych łąk i ciemnym tonem la-

sów, chciałoby się zaraz maszerować na wycieczki i odkrywając coraz to nowe „pagórki“, drapać się na nie, sycić aromatem lasów i świeżym, miłym, tak świetnie działającym po dusznej stolicy, wiatrem.

I zaraz też każdy sobie obiecuje, że jak tylko wszystkie jego kości powrzuć z swych miejsc, dzięki fatalnej drodze, wróca na miejsce swego przeznaczenia, wyruszy na wycieczkę na Stożek (975 m.), na Czantorję (995 m.), na Barania (1212 m.), na Skałę Malinkowska i wreszcie na prawdziwą „skalną“ górę, Babia. A tymczasem siedząc w pensjonacie, czy to w osławionym hotelu „pension Piast“, czy w illi „Nelci“, której właścicielem jest nauczyciel miejscowej szkoły p. Goszyk, czy „Swobodzie“ p. Cieniałowej, przygląda się cudom najróżnorodniejszych zielonych barw pobliskich gór: Bukowej, Jarzembatej i górującej poważną ciemnią swych lasów, Czantorji. I zadowolony ogromnie idzie nad wzieta w kamienne karby Wisłokę, aby spocząć na wyboistej i kamiennej (dosłownie!) plaży, obok innych ludzkich ciał opalających się i odparzających się (dosłownie!). Lecz już bliżej poważnie godziną dwunastą na ewangelickim kościele i każdy się wynosi z nad rwącego strumyka górskiego, zamieniającego się później w królowe rzek naszych, aby zdażyć do pensjonatu na obiad. Mimo, że wszyscy ustawicznie narzekają, że nie ma dobrej kuchni w Wiśle, apetyt dopisują i goście pochłaniają olbrzymie ilości jedzenia.

Coprawda, Wisła nie może się pochwalić luksusowymi pensjonatami, ale kto chce mieć względnie przyzwoity pokój, niech się postara dostać do Dziechejki, Nelci (nauczyciela Goszyka), Bukowej, Zofjówki, wreszcie Swobody p. Cieniałowej. Co do osławionego „pension Piast“, to naprawde jest tylko osławionym, pozatem postawia wiele do życzenia, szczególnie kuchnia. W wyżej wymienionych pensjonatach można otrzymać pokój z całodziennym, czterokrotnym utrzymaniem za 8 — 9 złotych.

Pożądający zabawy znajdują tu dancingi. W „Swobodzie“ przez cały lipiec była orkiestra przygrywająca do obiadów i kolacji, dzięki czemu często tańczono tam. Pozatem w Piaście była co wtorek „tańcówka“. No, i wreszcie atrakcja Wisły, restauracja „Halamówka“ oddalona od centrum (poczta, szkoła powszechna, kościół ewangelicki) o dobre dwa kilometry, gdzie przygrywał wcale niezły jazz-band.

Sportowcy znów mogli uprawiać tylko tenis i to tylko w dwóch pensjonatach: „Piast“ i „Swoboda“.

Kapieł w rzece jest bardzo utrudniona, ponieważ przedewszystkiem woda jest „aż“ do kolan, a następnie dno jest bardzo kamieniste... To też, jak słyszałem, niektórzy chodzili do doliny Dziechejki (cudowna dolina, wspaniały spacer), i tam stawali pod wodospadem, mając znakomity tusz... Ale to tylko dla amatorów... Większość chodziła opalać się na kamienistej plaży i pluskać się w płytkiej, lecz bystrej Wisłokę.

Wszystkie przekrości, jakich człowiek doznał z powodu meczacej podróży i dość prymitywnych pensjonatów znikają, gdy idzie się na wycieczkę Wisła — Stożek — Czantorja. Jest to zapewne najpiękniejsza wycieczka, gdy idąc szczytami gór

przez przełęcz Beskidek, cały czas nad granicą czeska, ma się rozległe śliczne widoki, chyba na całe Beskidy Zachodnie. A potem z Czantorji, wraca się w różowym humorze, troszke pod wpływem nysznego węgierskiego wina (schronisko na Czantorji jest po stronie czeskiej), mając przytem w kieszeni dobre monopolowe papierosy. Oby nasze były choćby takimi...

Wszystko pięknie, tylko uderzyła mnie jedna rzecz. Mianowicie: Dlaczego tam ani Czerwony Krzyż, ani Inwalidzi nie budują sobie sanatoriów. Wisła jest bardzo zalecana przez lekarzy. Od chorych na serce, aż się roją, mimo, że jest to przecie miejscowość górską.

Bardzo mnie to wszystko dziwi, a każdemu chcącemu wypocząć po nerwowej pracy radze tam iechać. Nigdzie nie znajdzie lepszego ich ukojenia.

Henryk Sieciński.

DELEGACJA ZWIĄZKU INWALIDÓW U MINISTRA SKARBU.

Minister Skarbu p. Czechowicz przyjął w dniu 20 września na audiencji w obecności wice-ministra Góry i dyrektora departamentu Wójtowicza, delegację Głównego Zarządu Związku Inwalidów w osobach Pp. Bantora i red. Rosochackiego, i wysłuchał ich życzeń. Głównym przedmiotem konferencji była sprawa uregulowania stosunku inwalidów do koncesyj monopolowych. Delegacja złożyła również specjalne skargi na prezesa Izby skarbowej p. Gregera w Krakowie z powodu samowolnego i często krzywdzącego rozdzielania koncesyj i wogóle załatwiania spraw koncesyjnych w obrębie Izby skarbowej krakowskiej. Pan minister Czechowicz przyrzekł stanowczo pomyślnie załatwienie skarg i żalów inwalidzkich. Odbywają się już narady nad życiową stroną sprawy w gabinecie dyrektora Wójtowicza. Należy wierzyć, że sta-

nowczość p. ministra skarbu okaże dużą pomoc inwalidom, którzy przecie w zrozumieniu obecnych trudności wysuwają naprawde minimalne żądania. Byłoby też rzeczą ciekawą i doniosłą stwierdzić, jakie jest stanowisko rządu wobec świeżo złożonych wniosków w sprawie koncesyjnej w Sejmie, o czym piszemy w artykule wstępnym. Siedzimy bowiem, że stanowisko rządu sprawy te rozstrzygnąć powinno.

JEDNODNIÓWKA „ŻYCIE INWALIDZKIE“

Ukazała się jednodniówka p. t. „Życie Inwalidzkie“, odbita podobno w wielu tysiącach egzemplarzy. Dochód z niej przeznaczono na warsztaty pracy i budowę schronisk dla inwalidów Armji Polskiej. Cel szlachetny, cel, dla którego i my pracujemy, tak, że chciałoby się o tej jednodniówce powiedzieć jak najlepiej. Musimy jednak zauważyć i to stanowczo, że tego rodzaju właśnie jednodniówki powinny być wydawane starannie i starannie opracowywane. Tymczasem treść „Życia Inwalidzkiego“ zawiera się za ledwie w 20 stronach, z których część dość znaczna, bo prawie 7 stron, jest wzięta z naszego wydawnictwa, a mianowicie: „Sa rany i blizny“, Marszałka J. Piłsudskiego (specjalnie dla nas niegdyś napisane) z naszego 1-go numeru, oraz „Wielka opowieść“ R. Dzisiejewskiego z naszego 2-go numeru. Ani w pierwszym, ani w drugim wypadku wydawcy nie podają źródła, a znają chyba prawa autorskie w Polsce obowiązuje, jeśli pominąć już sprawę najwykleszej... grzeczności, która nakazuje nie tylko podać źródło przedruku, ale i choćby tylko poinformować dane (w tym wypadku) nasze wydawnictwo, że się z jego materiałów korzysta. I korekta, niestety, przeprowadzona jest bardzo niedbale. Jeden z nabywców broszury zwrócił mi uwagę, że taka broszura zniecheca, bowiem robi wrażenie roboty pośpiesznej i nie obmyślanej i chybia przez to celu. My, słuchac propagandzie Inwalidzkiej już dwa lata, wszelką akcję bratnią witamy z radością. Ale chcemy, by stała zawsze na wysokości zadania.



WILLA
„KRAKUS”
W KRYNICY

poleca: pokoje wygodnie
urządzone z utrzymaniem
w pobliżu ŁAZIENEK.

APTEKA
„POD ANIOŁEM”
W KRYNICY
H. NITRIBITTA

założona w roku 1860.

Wszelkie środki lecznicze.
Krynicky wyciąg z igliwia świerkowego.



NAJSTARSZY W WARSZAWIE
PIERWSZY
„BAR AMERYKAŃSKI”

Senatorska 27, tel. 21-48.

P O L E C A

Znane ze swej dobroci potrawy
z rusztu z kabulem własnego wy-
robu, bufet zaopatrzony w różne-
go rodzaju zakąski zimne i gorące,
wybór wszelkich trunków,
win krajowych i zagranicznych
:—: pierwszorzędných firm. :—:

Długoletni właściciel LEON KLEMBERG

SPRZEDAŻ
odpadków bawełnianych
JÓZEF NIKONOROW

ŁÓDŹ

Piotrkowska № 110.

Telefon 13-17.

Telefon 13-17.

BIBLIOTHECA
UNIV.  JACIEL
CRACOVENSIS

TOWARZYSTWO AKCYJNE

Pabjanickich Fabryk Wyrobów Bawełnianych

„KRUSCHE i ENDER”

P A B J A N I C E

(WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE)

Rok założenia 1826.

Robotników 4000.

Przędzalnia, tkalnia mechaniczna, farbiarnia,

drukarnia, bielnik, draparnia i wykończalnia.

W Y R A B I A :

tkaniny bielizniane i pościelowe, płótna kolorowe, zefiry (flanele) tkaniny na ubrania męskie i damskie, tkaniny drukowane (barchany, kretony i maśliny), derki, obrusy, serwety i veloury.

Główne biuro sprzedaży: ŁÓDŹ, Piotrkowska 143

Adres telegraficzny: Kruschender.

.Telefon 10-08 i 19-72.

SKŁADY KOMISOWE: w Poznaniu u p. Ryszarda Krygiera, Poczta 5
w Warszawie u p. I. M. Warszawskiego, Nalewki 28
w Gdańsku u p. Ottona Patza, Milchkannengasse 33 34
we Lwowie u p. M. Poznańskiego, Kazimierzowska 35
w Równem u p. Aleksandra Cylkego, 3 Maja 121



PRZEDSTAWICIELSTWA: na Górny Śląsk, p. Knorozowski, Katowice, Słowackiego 24,
na miasto i okręg Wilno, p. Jakób Rotstein, Wilno, Wielka 32.